

Cena

40 hal

BIBLIOTEKA
MRÓWKI

312-313

ALEKSANDER FREDRO.

DOŻYWOCIE.

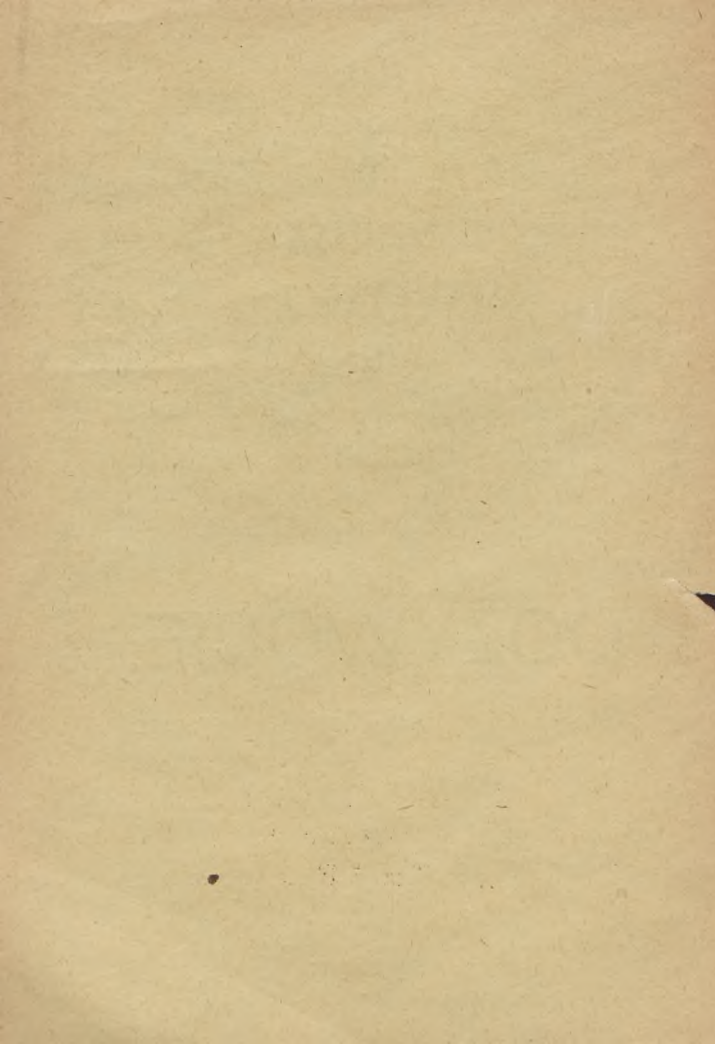
Komedia w trzech aktach wierszem.



[1897]

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.



ALEKSANDER HR. FREDRO.



DOŻYWCIE

KOMEDYA W TRZECH AKTACH, WIERSZEM.

U skąpego lub chciwego cała
w mieszkudusza.

And. Maks. Fredro.

Za zezwoleniem rodziny autora

D. E. FRIEDLEIN

KSIEGARNIA

W KRAKOWIE.

L W O W

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.

O S O B Y:

LEON Birbancki.

Z. Wąchowa

DOKTOR Hugo.

ORGON.

RÓZIA, córka Orgona.

W. Lippomano

ŁATKA.

Z. Barabaszówna

TWARDOSZ.

J. Górnyczyński

RAFAŁ Lagena.

W. Lippomano

MICHAŁ Lagena.

H. Kłomowski

FILIP.

W. Lippomano

Służba w oberży — muzykanci — żydzi etc. etc.

Scena w mieście.



106297

AKT PIERWSZY

(Sala w oberzy— liczba na drzwiach — po prawej stronie od aktorów pod oknem stolik, na nim dopalające się świece, kieliszki, karty, etc. toż samo i na ziemi, gdzie także kilka butelek — po lewej stronie na kanapie śpi Rafał i Michał. W głębi śpią na krzesłach muzycanci z instrumentami w ręku za pulpitemi, na których butelki i gasnące świece — krzesła powywracane i nieład w całym pokoju).

SCENA PIERWSZA.

Ł A T K A , F I L I P (sprząta).

Łatka (zaglądając). Pst ! Filipku !

Filip (gasząc świece i nie oglądając się).

Śmiało, śmiało !

(Łatka wsuwa się i ogląda się wkoło, kiwając głową)

Łatka. Tu dudziarze, tu opoje ;

Aj Filipku, serce moje,

Źle się dzieje.

Filip (ziewając) Cóż się stało ?

Łatka (trącając nogą butelkę).

Sądząc z szczątków o zabawie...

Filip Nieźle, nieźle nam się działo.

Łatka. To czuwanie noc w noc prawie,

Te hulanki, ten tok życia,

Pewnie zdrowia nic nie przyda ;

A Pan Leon go do zbycia

Nie ma wiele. — Aj, aj, bieda,

Kłopot, nędza z tą młodzieżą ;

Żyją jakby nieśmiertelni;
Mów im: umrzesz! — nie uwierzą —
Aż zakadzą im kościelni,
Aż już przyjdzie leżć do rowu,
Wtedy....

Filip (wpadając w mowę). Wierzą.

Łatka. Aj, gdzie znowu!

Lecz tych wszystkich wtedy gubią..

Filip (jak wyżej). Co ich z duszy, serca lubią.

Łatka. Aj, gdzie znowu! — tych, co krocie

Gotowizną dzisiaj płacą,

Aby nabyć dożywocie,

Które jutro może stracą —

I żadnemu ani w głowie,

Że ktoś kupił jego zdrowie —

Jakby własnem szasta sobie!

Filip (ironicznie). Szasta, szasta, a raz w grobie —

Dożywocie fiut! do kata.

Łatka. Fiut! Filipku serce, moje —

Tak jest, tak, fiut! — wielka strata!

Jak na węglach ja też stoję —

Aj, aj, kłopot! cóż robili

Na tej uczcie?

Filip. Co?

Łatka. Co?

Filip. Pili

Łatka. Zgadłem, zgadłem — źle, niezdrowo —

Ale skromnie, czy bez liku?

Filip. Po kieliszku.

Łatka. Mądre słowo!

Po kieliszku! mów: po łyku,

Ale łyków sto tysięcy. —

A nasz Leon?

Filip. Ten najwięcej.

Łatka. Pił, pił?

Filip. Jak smok.

Łatka. Jak smok? Boże!

On na siebie sam zażarty —

Piers jak wróbla — kaszel dławi —

Noże w sobie topi, noże!

I cóż jeszcze?

Filip. Grano w karty.

Łatka. W karty? dobrze — ta zabawa

Zawsze jakąś korzyść sprawi,

Bo co przegrać kto nie może,

To w pół darmo nam zastawi.

Filip. Ja gry ganić nie mam prawa:

Dziesięć czątych mi przyniosła.

Łatka. Dziesięć czątych! Aj, Filipku,

Tys się widzę rodził w czepku.

Więc się wzięłeś do rzemiosła.

Filip To się na mnie nie pokaże!

Wszakżem uczon w pańskiej szkole:

Na niepewne nic nie ważę

I gratyskę zawsze wolę.

Łatka. Skądże, serce, ów dziesiątek?

Filip. Od kart dawać zwyczaj dawny.

Łatka. Od kart — dziesięć — piękny wziętek!

Akeydensik zatem jawny —

Pokażno mi te dukaty.

Filip. Nic dziwnego — ot dukaty.

Łatka. Ważne?

Filip. Pasir.

Łatka Jakże będzie?

Filip. Co, jak będzie?

Łatka. Jakoś przecie —

Ów dziesiątek. — Co? — jak? wszędzie

Człowiek z ludźmi... jakto w świecie —

Ręka rękę... jakoś przecie.

Filip. (chcąc odejść). Nie mam czasu.

Łatka (zatrzymując go). Chcesz mej straty?

Filip. Co? — Pan Łatka, tak bogaty,

Chciałby dzielić, wziąć połowę,

Co dniem, nocą, łamiąc głowę,

Biedny sługa gdzie skorzysta?

A, to hańba oczywista!

Łatka. Aj, Filipku, hańby niema —

Jeden chętnie pieniądz trzyma,

Drugi chętnie go wyrывa;

I Filipku, serce moje,

Jeśli z tobą się podzieli,

To za moje koszta, znoje.

Gdym Leona Birbanckiego

Dożywocie kupił sobie,

Chciałem kogoś rozsądnego

Wciąż przy jego mieć osobie,

By uważał należycie

Na szacowne jego zdrowie,

Na, zbyt drogie dla mnie, życie —

By strzegł jakby oka w głowie.

Ciebiem wybrał przez pocziwość

Za zasługi twoje dawne,

Za staranną twą gorliwość,

Z którąś fanty strzegł zastawne;

I pomimo przeszkód wielu,

Z wielkim kosztem, z wielką pracą,
Tum cię wkręcił, przyjacielu,
Gdzie ci teraz dobrze płacą.

Filip. Wszak Pan bierzesz procent piąty.

Łatka. Powinienbyś dać dziesiąty.

Jam ci bowiem dał dochody,
Co masz teraz — jam cię wprzód
Oporządził jak panicza.

Filip. Oporządził? — Wolne żarty.

Łatka. Wszakżem czapkę dał z kutasem,
Czapkę piękną.

Filip. Grat obdarty,
Chyba wróble straszyć czasem.

Łatka. Ale kutas!...

Filip. Piękna czapka.

Łatka. Ale kutas!...

Filip. *(ironicznie).* Luba! miła!

I cóż miałem z tego datku?

Łatka. Ale kutas, kutas, bratku...

Filip. Cóż u dyabła z tym kutasem!...

Łatka. I podszewka niezła była.

Dałem także łokci parę

Pięknej frandzli.

Filip. Strzępki stare!

Łatka. Piękną umbkę.

Filip. Tęgie zyski!

Łatka. Piękne buty.

Filip. Jeden tylko.

Łatka. Jeden? — może — lecz paryski,

Dałem szlafrok w piękne kwiaty.

Filip. Dyablem wyszedł więc bogaty

Z pańskiej służby w szóstym roku:

W jednym bucie i szlafroku.

Łatka. Lecz nie o tem teraz mowa —

Kiedym kupił dożywocie...

Filip. Kupił? kupił? — wydarł, Panie.

Łatka. Aj, Filipku, serce moje!

Wstrzymaj trochę ostre słowa. —

Wydarł! wydarł! W tym kłopotcie,

Żem przepłacił moje zdanie.

Filip. Ja się także tego boję.

Ale czemu imie cudze

Pan kładł w kontrakt, a nie swoje?

Łatka. Co do tego memu słudze?

Filip. I dla czego tak troskliwie

Przed Birbanckim Pan to kryje:

Dożywocie teraz czyje?

Kto nabywcą jest właściwie,

By uniknąć stąd napaści?

Łatka. Dyable rogi rosną Waści.

Filip. Niech na zdrowie rosną sobie.

Lecz by Pana już nie bodły,

Rzucam służbę i zysk podły;

Birbanckiego niech w chorobie

Już kto inny ma w opiece. —

Łatka. Co? w chorobie? — Alboż chory?

Po doktora zaraz leczę.

Filip. Nie pomogą mu doktory.

Łatka. Cóż mu, cóż mu? ledwie stoję!

Filip (obojętnie). Co? — suchoty pewne.

Łatka. Nieba!

Filip. Żyła w piersiach pęknie.

Łatka.

Pęknie?

Żył? w piersiach?

Filip.

Jęknę, stęknę —

I już po nim.

Łatka.

I już po nim!

Filip. Z nim jak z jajkiem teraz trzeba.**Łatka.** Biegnę, pędzę po doktora —

To mi czasy! to mi pora!

Filip *(sam)* Skąpcze! sknero! drabie! czarcie!

Mam przy twojem stać na warcie,

A nie skubnąć kiedy mogę!

Chyba byłbym bez sumienia.

Ale czas też i mnie w drogę,

Bo się dyable wiatr odmienia:

U mnie kieska, — u mnie sprzęty,

A Birbancki, dobra dusza,

Jak cytryna wyciśnięty,

Wkrótce beknie Tadeusza. —

SCENA DRUGA.

LEON, FILIP, *(Michał, Rafał, muzykanci śpiący)*.LEON *(po którego ubiorze znać, że się nie rozbierał, pokaszluje często)*.

Filip!

Filip. Słucham.**Leon** *(siada, opiera głowę o rękę i mówi do siebie)*.

Piękne gody!

Wyśmienite w każdym wzglądzie!

Kieszeń pusta, we łbie szumi.

Filip!

Filip. Słucham.**Leon.** Cóż, barszcz?

Filip.

Będzie.

Leon. Kwaśny?

Filip. Ha! nasz kucharz umie
Barszcz najlepiej...

Leon (wołając za nim). Szklanekę wody!
Słuchaj! — z cukrem.

Filip (wracując). Cukru włożę.
I cytrynki dodam może?
Co?

Leon. Ha! dobrze — (wołając za nim). Albo nie chcę —
Głowa pęka, w piersiach łechce —
Aż do mdłości jestem słaby,
A ten poi limonadą —
Idź do dyabła z taką radą!

Filip. To chybaby...

Leon. Cóż: chybaby?

Filip. Parę kropel.

Leon. Czegoż znowu?

Filip. Rumu? co? —

Leon. Hm! — wlej troszeczkę.

(wołając za nim).

Albo wiesz co — daj bez wody,
Bo na dyabła tej ochłody!
Jeszcze sobie sprawię bole!
Chyba byłbym bez rozumu!
I mam zażyć trochę rumu,
To bez wody zażyć wolę.
Przynieś zatem mi flaszeczkę,
Tylko tego — wiesz? — z pod róży. (Filip odchodzi.)
(p. k. m.) W samej rzeczy rum mi służy.
(p. k. m. zbliżając się do śpiących)
Luby Michał! — Rafał miły!

Oba bracia jednej siły. —

Rafał z guzem, tam do czarta?

Twarda, widzę, była karta,

Którą Jan go w łeb uderzył. —

Byle tylko nam uwierzył,

Że mu się to wszystko śniło.

(*p. k. m.*) Piękne życie dotąd było —

Uczty, banki, karty, bale,

Lecz co dalej, nie wiem wcale.

Ani grzędy, ani chatki,

Pusto, goło wskroś i wkoło —

A zaś kredyt — o, mój Boże!

Już w nim ledwie tchu ostatki,

Ledwie palcem kiwnąć może.

(*p. k. m.*) Cóż więc dalej z sobą zrobię?

Ha! co myśleć. Teraz sobie

Na dewocyi gdzie osiedę,

I w mych listach pisać będę:

Roku ośmset trzydziestego

I piątego, a pierwszego

Mej golizny —

(przebudzony basetlista pociąga smyczkiem parę razy).

Jest tam który!

Filip (*za sceną*).

Zaraz, zaraz, (*wchodząc*) jestem Panie — (*przynosi rum*)

Leon. Powyrzucaj te bandury,

Schowaj karty, zbierz butelki.

Filip. To zabawi bardzo krótko.

Ale Panie — jest tam wielki

Nasz przyjaciel — dawno czeka.

Leon. Który? jaki?

Filip. Z rudą bródką.

Leon. Z rudą? — Żeby i z niebieską
Nie zadzwoni moją kieską,
Bo .. wiesz.

Filip. Jakiś mandat czyta
I chce... (pokazuje pieniądze).

Leon. Daj w kark, będzie kwita.

Filip. A nuż nam z tej obligacyi
Zechce wydać?

Leon. Schowasz sobie.

I każdemu z żydków braci

Masz oznajmić w każdej dobie:

Że od dziś dnia całkiem nowy

Mój systemat finansowy —

Że pod kredkę wzięwszy ściśle,

Co mam jeszcze, co mieć mogę,

Ani grosza dać nie myślę.

Ale, ale, kiedy mowa

O finansach — chciałem wiedzieć

I kazałem ci wysledzić,

W jakiej dziurze, jamie, błocie,

Ten przeklęty łotr się chowa,

Co mi wydarł dożywocie.

Muszę poznać go koniecznie.

Bo chciałbym go: — albo grzecznie

Do jakowej skłonić zgody,

Albo pozwać za me szkody,

Albo tego kijem wybić.

Filip. Jedno lepsze od drugiego,

Z trzech móźdierzzy trudno chybić,

Nie nie będzie jednak z tego —

Bo ów Prałat jest w Berlinie,

Tylko sobie przez bankiera

Pensją pańską na terminie
Jakby własną tu pobiera...
Ale Panie, tamten czeka.

Leon. Powiedz, żem zły, niech ucieka.

Filip. Nie chce słuchać.

Leon. Dmuchnij w uszy.

Filip. Mówi, z miejsca że nie ruszy.

Leon (uderzając pięścią w stół).

To ze schodów strąć zuchwalca!

Skrzypek (przebudzony).

Walca? — zaraz — (do muzykantów) Walca! walca!

(zaczynają grać następnie i fałszywie)

Filip (odrywając im smyczki nadaremnie).

Cicho! — Dosyć! — Ale... cicho!

Skrzypek. Czasem człowiek nie chcąc zaśnie.

Filip (ku drzwiom ich popychając).

No! no! marsz, marsz!

Skrzypek (we drzwiach). Marsza, Panie?

Zaraz. — Marsza! (zaczynają grać marsza)

Filip (zamykając drzwi).

Ale cicho!

Czy ich dyabli nastroili! —

Teraz grają, w nocy pili —

(słychać oddalającą się muzykę, a gdy Filip już wraca, nie widziany i leżący w samym kącie za pulpitem klarynecista zaczyna fałszywie akompaniować).

Filip (idąc ku niemu). A to znowu co za licho!

Klarnecista. Trochę zaschło w klarynecie.

Filip. Mnie się zdaje, że zamokło.

Klarnecista. Trzeba...

Filip (odprowadzając za drzwi

No... no — śpij zdrow — (zamykając). Przecie!
(zbiera świece i wychodzi).

SCENA TRZECIA.

LEON, RAFAŁ, MICHAŁ.

Rafał (przebudzony, leżąc śpiewa).

Kiedy się nam pora zdarza,
I taka doba!

Pijmy zdrowie gospodarza
Co się podoba.

Michał (zrywając się siada).

W czyje ręce? czyje zdrowie?

(obydwaj jeszcze siedząc oglądają się na wszystkie strony, czas krótki
milczenia).

Leon. A, dzień dobry.

Rafał. Mój Leonie,

Dałeś bankiet co się zowie,
Będą mówić o nim wszędzie,
Ale... (zaczyna szukać trzewika).

Michał (z westchnieniem).

Ale — ciężkie ale —

Panie bracie, gorzko będzie.

Rafał (szukając ciągle trzewika)

Wszak podobnoś trzewik miałem.

Michał. Dałem sobie, dałem, dałem!

Leon. O cóż idzie?

Michał. Jak się żonie

Dziś pokazać.

Rafał. Żle, Michale!

Michał. Żle, Rafale.

Leon. Cóż u czarta !

Tak się żony bać okrutnie ;
Choć pogdera, choć pozrzedzi,
Wszak w kominie nie uwędzi,
Wszak za karę łba nie utnie —
I gadania rzecz niewarta.

Rafał. Łatwo mówić: łba nie utnie...

Ale cóż mnie w czoło śwędzi?

Czy ugryzło co tak mocno?

(do Leona) Czerwone? co?

Leon. Plamka mała.

Rafał. Pewnie komar...

Leon. Lub szczypawka.

Michał. Koniec końców, ta zabawka

W takiej zgrai...

Rafał. Chwilą nocną.

Michał. Dyabła warta całkiem cała,

A to z łaski Pana brata.

Rafał. Tylko na mnie nie kładź winy.

Ja wyszedłem ze sąsiadem

Do mojego adwokata —

Miałem wrócić w pół godziny,

I czekano mnie z obiadem...

Toż tam było! O, mój Boże!

Michał. Ja wyszedłem kupić łożę

Na wczorajszą jakąś Normę —

Oto bilet jeszcze noszę —

Wtem was licho ku mnie wiedzie —

Chodź z nami, chodź — ja się proszę —

Nie — chodź i chodź — gdzie? — na śledzie —

Śledzia lubię, pójść musiałem —

Otóż sobie śledzia dałem!

Rafał. Coś jak przez sen mi się zdaje,
Że ja wczoraj grałem w karty —
Nie pamiętasz, Panie bracie?

Michał (Rafał dostaje pulares). Nie pamiętam.

Rafał (przewracając pulares, potem kieszenie). Otóż macie!

Leon. Czy tam czego nie dostaje?

Rafał. Tam do kata, to nie żarty!

Trzysta reńskich siostra właśnie
Na sprawunki mi przysłała —
Niechże jasny piorun trzaśnie
Te sprawunki parafiańskie!
A to plaga oczywista.

Leon. Jutro zwalczysz los uparty,
Wygrasz.

Rafał. Ściskam nóżki pańskie,
Póki życia nie gram w karty.
Trzysta, Panie bracie, trzysta!

Michał (wychodząc z zamyślenia).

Żebym choć mógł wspomnieć sobie,
Co robiłem tu w tej dobie —
Nie pamiętasz, Panie bracie?

Rafał. Nie pamiętam.

Leon (śmiejąc się). Otóż macie!

Michał. Ależ niema śmiać się z czego —
Byłby gruby żart za katy,
Człowiek przecie jest żonaty.

Leon. Już ja ręczę, że nie złego.

Michał. W złam kaducznie wyszedł porę.

Leon. Już ja wszystko na się biore —
Ja pogodzę was z żonami.

Rafał. Bardzo dobrze, chodź więc z nami.

Leon. Przyjdę później.

Michał. Dyabliż po tem!

Rafał. Wiesz Leonie, zrób mi grzeczność:

Ty to umiesz pięknym zwrotem

Najszałeńszą zgładzić sprzecznosc —

Napisz kartkę do mej żony.

Michał. I do mojej.

Rafał. Słówek parę.

Michał. Jesteś od niej wielce czczony.

Rafał. Moja daje świętą wiarę.

Leon. Pisać można — nawet wróżę,

Iż mój bilet wiele wskóra,

Tylko że to w mojem biurze

Łatwiej flaszki niżli pióra.

Prawda — jest od kart ołówek,

Zaraz skreślę parę słówek.

(odchodzi).

SCENA CZWARTA.

RAFAŁ, MICHAŁ.

(milenie)

Michał. Cóż ty powiesz?

Rafał. Co?

Michał. Co?

Rafał. A ty?

Michał. Ja — nic.

Rafał. Nic? i ja toż samo.

Michał. Tylko że to zły za katy

Pierwszy ogień z moją damą.

Rafał. Moja znowu nic nie powie,

Nie zachmurzy nawet czoła,

Ale pójdzie do kościoła

Z swoich zmartwień nieść ofiarę.

Aż dopiero za powrotem

Zacznie zwolna mówić o tem,
I nazajutrz rzecz tę wznowi,
I pojutrze, i w dni parę,
I za tydzień, dwa tygodnie,
Zawsze cicho, mile, zgodnie —
I jak kropla wody czystej,
Co w kąpieli nam kroplistej
Zawsze w jedno miejsce pada,
Że aż czasem w mózgu wierci —
Ona gada, gada, gada,
Gadałaby i do śmierci,
Gdybym w końcu unudzony,
Tak dla siebie jak dla żony,
Nie nabroił w innym względzie,
By dać nowy przedmiot zrzedzie.

SCENA PIĄTA.

RAFAŁ, MICHAŁ, LEON.

Leon. Oto macie zaświadczenia
Dostateczne: wiernie, pilnie,
I trzeźwo — co? — Przy tem silnie
Błagam obie przebaczenia
Za stracone ze mną chwile.

Rafał. Bóg ci zapłać łaski tyle.

Michał. Niebo zyszczesz tą przysługą.

Leon. Mam nadzieję iż niedługo
Będą trwały w swoim gniewie.
Ale niechże jedna nie wie,
Że list taki ma i druga.

Rafał (całując go z obu stron).

Dobrze, dobrze; dzięków krocie,
Żeś nam pomógł w tym kłopotcie.

Michał (całując go z obu stron).

Do oddania ta usługa,

Jeśli kiedy (z westchnieniem) Bóg da żonę.

Leon. Teraz ufni w naszą obronę,

Myśleć czego już nie macie —

Co się stało — to się stało!

(Rafał biorąc pod rękę Michała, wkłada kapelusz z fanfaronadą i mówi).

Rafał. Ej, zapewne! tylko śmiało!

(kapelusz za przestronny, wpada aż po brodę — Dobywając głowę)

Ten kapelusz...

Michał (próbując). Nie twój, bracie.

Nie mój także.

Rafał. Za przestronny.

Michał (szukając). Ale gdzie mój?

Rafał (szukając) A to miło!

Przed tygodniem odnowiony!

Michał. Wszakże miałem... czy się śniło!

Leon (nogą wskazując pod stół)

Tu coś leży.

Michał. Mój był nowy.

Leon. Bierz co jest.

Michał (kładąc kapelusz, który zostaje na wierzchołku głowy).

Ten trochę ciasny.

Leon. Ale gdzie tam, jak twój własny.

Rafał. Bez przykrycia jak bez głowy!

Leon. Co tam zważasz — czasu szkoda —

Byle było co na czubie!

A kto spyta — powiesz: moda.

Rafał. Ej, zapewne! ja tak lubię —

Wino, wino — woda, woda —

Pójdź braciszku! tylko śmiało!

Co się stało! to się stało!

(odchodzą wzięwszy się pod rękę, jeden w przestronnym, drugi w ciasnym kapeluszu).

Leon (sam). A to plaga społeczeństwa

Ci mężowie, te wahadła

Miedzy torem cnót małżeństwa,

I koleją: hulaj dusza!

Ucz każdego abecadła

Niewinnego bawidełka,

Od kieliszka do dyabelka.

A, to męka i katusza!

Ależ znowu jak się uda,

Czego nie liczyć między cuda,

W kącie bezzenni! — mąż perełka!

SCENA SZÓSTA.

LEON, FILIP.

Filip (pakiety w rękę).

Jakiś pakiet bardzo rano

Dziś do Pana tu oddano;

Lecz nikt nie wie skąd, od kogo,

Bo tajemną zwykłą drogą.

Leon. Pakiet, mówisz, pakiet do mnie?

Ciężki? lekki? co?

Filip. Ogromnie...

Leon. Ciężki?

Filip. Lekki.

Leon (odbierając). Nic nie szkodzi,

Choćby lżejszy i od puchu —

Z twojej ręki to pochodzi,

Opiekuńczy ty mój duchu,
Co miłosnem twojem skrzydłem
Strzeżesz ciągle mojej głowy!
Ach, nie jesteś czczem mamidłem,
Codzień biorę dowód nowy!
Czy cię mieszczę w sylwów rzeszy,
I Sylfidy nazwę daję,
Twa opieka serce cieszy,
Twego wzroku mi nie staje.
Czy w ziemianek licząc gronie,
W piękność bóstwa myślą stroję,
Miłość czeka w mojem łonie,
By ogarnąć duszę twoję!

Filip. Cóż przysyła ta Sylfida,
Niech Pan z łaski okiem zmierzy.
Trochę złota dziś się przyda,
Bo i mnie się coś należy.

Leon. Właśnie, właśnie że dziś pora,
W której skonał mój majątek.
(z czułością) Ona pomoc nieść mi skora,
Szle zasilek na początek —
Albo może w tej minucie
Skończył życie gdzie w Kalkucie
Jaki kuzyn nieznajomy;
I Sylfida zsyła gromy
Z testamentem na mą głowę —
Moje skarby milionowe!

(wznosząc pakiet do góry).

O, ty! z ziemi czyli nieba,
Otwórz łono tajemnicze!
Twoje dary niech przeliczę —

Bo mi darów dyable trzeba.

(odpieczętowuje i z zadziwieniem).

A!

Filip (w miarę jak Leon dobywa).

Kaftanik — pończoch para —

I szlafmyca, ale stara —

Leon (zbiera wszystko i rzuca w oczy Filipowi).

Idź do dyabła!

Filip. A ja za co?

Niech Sylfida idzie sobie.

Leon. Precz mi z oczu, precz ladaco!

Ja ci także figla zrobię,

Aż ci w karku dwakroć trzaśnie.

Filip. Nibym ja go zrobił właśnie.

(zbierając z ziemi).

Jednak wszystko flanelowe —

Prawda nie grzech — ciepłe, zdrowe —

Leon. Milcz!

Filip. Ha!

Leon (porywczo).

Co?

Filip. List. Wszakci może

Czarodziejska ta szlafmyca.

Może zniknie tajemnica,

Jak na głowę Panu włożę.

Leon (czyta). „Szanuj zdrowie należycie,

„Bo jak umrzesz, stracisz życie.

Filip. A widzi Pan, widzi, widzi.

Leon (oglądając się).

Nie — nie widzę nigdzie kija —

Zdałby mi się niesłychanie.

Filip (cofając się).

Ja poszukam w przedpokoju.

Leon. Czekał, czekał.

Filip. Zaraz Panie. (odchodzi).

Leon (sam). Jeszcze sobie hultaj szydzi!

(p. k. m.) Ale bo też jest i z czego —

Dawca głupi, lub urąga :

Pończoch para dla takiego,

Co starł milion do szeląga. —

(p. k. m.) Albo... czemu chętniej wierzę,

Chciał przyjazną dać przestrozę ;

Choć się dziwnie wziął w tej mierze,

Przecie gniewać się nie mogę.

Zawsze jednak to dowodzi,

Że me zdrowie go obchodzi,

Że jest geniusz niestrudzony,

Co mnie strzeże z każdej strony.

Filip (oznajmując). Doktor Hugo.

(wychodzi)

SCENA SIÓDMA.

LEON, DOKTOR.

Doktor.

Cóż u licha !

Leon słaby — Leon chory,

Doktor pędzi ledwie dycha,

A on zdrowszy niż doktory

Wszystkie razem w czambuł wzięte !

Leon. Kto ? ja chory ?

Doktor.

A inaczej

Nie byłbym tu.

Leon.

Cóż to znaczy ?

Znowu rzeczy niepojęte.

Doktor. Co? przysłano mnie do ciebie.

Leon. Choć się zawsze bardzo cieszę,

Kiedy widzę cię u siebie,

Jednak wybaczyć, że dla tego

Zachorować nie pośpieszę.

Więc wytłómacz mi się jasnie,

Bo przeczuwam coś dziwnego.

Doktor. Wychodziłem z domu właśnie,

Gdy osoba mi nieznana

Bez tchu prawie, z trwogi blada,

Wstępny bojem do mnie wpada,

I ściskając za kolana,

Prosi, błaga i zaklina,

Bym niósł prędko pomoc tobie —

Ja też skory, prosto idę...

Leon. Ach, Sylfidę, ach, Sylfidę

Jak nie poznać w tej osobie!

Opisz mi ją, mój doktorze,

Powiedz: ładna, piękna, bóstwo!

Młodość, świeżość, wdzięków mnóstwo!

Powiedz, powiedz mój doktorze.

Doktor (śmiejąc się). Dałem słowo, milczeć muszę,

Lecz nie zgadłbym, na jaką duszę,

Że Sylfidy imię nosi.

Leon. Ja to dałem to nazwisko,

Bo ten duch mój opiekuńczy,

Acz nademną się unosi

I osłania skrzydły swemi,

Nigdy nie był dosyć blisko,

Abym poznał, z istot ziemi,

Czyli też jest z istot nieba.

Doktor. Ziemi? Nieba? — w tym sposobie
Nienapróżno mnie przysłano,
Bo ci puścić krwi potrzeba.

Leon. Słuchaj, potem co chcesz zrobić.

Już to więcej niż od roku
Jakaś przy mnie skryta władza,
Strzegąc w każdym moim kroku,
Z wszystkich przygód wyprowadza.
Jeśli czasem na reducie
Do huczniejszych przyjdzie sporów,
Wał przed sobą mam w minucie
Z arlekinów i doktorów.

Gdy gdzie jestem, a deszcz lunie,
Choć nie rzekłem nic nikomu;
Jest kareta u drzwi domu. —
Niech co zgubię, niech co złamię,
Lub zabłądzę gdzie w podróży,
Wnet się skądś ktoś nasunie,
Co gorliwie mi usłuży.

Kiedy nawet wracam w nocy
Zbyt niepewną czasem nogą,
Jest latarnia po nad drogą,
Jest i ramie ku pomocy.

(z westchnieniem) I acz dotąd w dobre rady,
Niśli w dary jest hojniejsza,
To wdzięczności mej nie zmniejsza;
Bo w tym świecie któż bez wady!

Doktor. Że to dziwnie, nikt nie przeczy.

Leon. Gdy więc ona cię przysłała,
Możem słaby — w samej rzeczy —
Kaszlę trochę — głowa pała.

Doktor (biorąc za puls). Co do twojej bratku głowy,
Chyba chirurg ci poradzi,
Jak tę zdejmie, inną wsadzi.

Leon (wyrываяc rękę.) Idź do licha!

Doktor. Jużes zdrowy?

A Sylfida? (Leon podaje rękę). kaszlesz?

Leon. Kaszlę.

Doktor. Jesz za trzech.

Leon. Za ćwierć osoby.

Doktor. Tuzin godzin śpisz do doby.

Leon. Już dwie nocy nic nie spałem.

Doktor. Kaszlałeś?

Leon. Nie -- w karty grałem.

Doktor. Na tę słabość jest apteka,

Co się, *vulgo*, koza zowie.

Lecz bez żartu; mój Leonie,

Chciej pamiętać na tve zdrowie,

Bo, na honor, złe cię czeka.

I ta, której ty obronie

I opiece ufasz tyle,

Moim głosem napomina,

Byś pomyślał choć na chwilę

Że mniej życia co godzina.

Leon (wpadając w mowę). I co doktor — nie nowina.

Doktor. Lepiej doktor że dobije,

Niż masz stękać, kwękać długo.

Leon. Dobroczyńca doktor Hugo.

Doktor. Jak przyjaciel teraz mówię,

Chcesz nareszcie, trać, niszczyć zdrowie,

Jak je stracisz, koniec w grobie —

Lecz nie ujdiesz w tym sposobie,

I nie łatwo przerwiesz wątek

Tej goryczy niezliczonej,
Gdy straciwszy swój majątek,
Bez szeląga staniesz w świecie.
Ty do zbytku przyuczony,
A szlachetnie myśląc razem,
Że się kiedy, by raz przecie,
Nie zastraszyś tym obrazem:
Co za życie z własnej winy
Sobie, światu być ciężarem;
Od godziny do godziny
Wyżebranym pełzać darem.

Leon. A Sylfida?

Doktor. Bądź zdrów!

Leon. Hola!

A recepta?

Doktor. Dam osobie,
Co pokutę pewnie sobie
Założyła w tej opiece.

Leon. Ale na co?

Doktor. Taka wola: (Filip wchodzi)
Dopilnować chce w aptece,
By dokładnie to zrobiono,
Co za okno rzucisz pono.

Leon (przeczytawszy bilet przyniesiony przez Filipa).
Wiwat handel! wiwat morze!
Dziś ostrygi przyszły świeże.

Doktor (z radością). Co ostrygi?

Leon. Chodź doktorze,
Tego zwlekać się nie godzi,
Z tobą pierwszą niech otworzę!

Filip. Ależ Panie — zdrowie pańskie.

Doktor. No, ostryga nie zaszkodzi. —

Filip. Ale przy tem i szampańskie.

Doktor. No kieliszek !

Leon. Jeden, drugi.

Doktor. Tak, tak, parę...

Leon (biorąc kapelusz). Parę, parę...

Doktor. Nigdy szkodzić ci nie może.

Leon. Pociągniemy.

Doktor. Byle w miarę.

Leon. Wszakżem pacyent twój doktorze —
Pierwej tobie, potem sobie.

(biorąc go pod rękę i idąc ku drzwiom).

Powiedzże mi: w tej chorobie

Cóż najprędzej pomódz może ?

Doktor. Dam ci proszek i miksturę...

Leon. Jak on moję zna naturę !

(wychodzą).

AKT DRUGI.

(Pulpity i kanapa wyniesione na miejsce, po lewej stronie stolik i krzesło).

SCENA PIERWSZA.

(Orgon po podróżnemu ubrany, kaszkiet na głowie — duże wąsy — zegarek na szerokiej tasiemce i t. d.; Rózia, za nimi żydzi i służący oberży .

Służący (wskazując na drzwi lewe).

Numer piąty, dwa pokoje.

Orgon. A na dobę ile za nie ?

Służący. Porachuje to się potem.

Orgon. Tego : potem, ja się boję

I chcę pierwiej wiedzieć o tem.

Służący. Reński.

Orgon. Srebrem ?

Służący. Srebrem, Panie.

Orgon. Srebrem reński, dyable drogo.

Służący. Ale taniej być nie mogą.

Orgon. Ale jednak taniej wszędzie —

Pół reńskiego niechże będzie.

Rózia. Niech się Papa nie targuje.

Orgon. Co za ambit ! proszę kogo !

Jemu nie wstyd, gdy rachuje

Za grosz cztery — a nas wstydzi

I okazać, że za drogo —

On też zdziera, jeszcze szydzi.

(do służącego) No, dwa reńskie papierami,
Albo jadę — co?

Służący. Jedynie
To dla Pana dziś uczynię,
Byś się lepiej poznał z nami.

Orgon (do Rózi). Widzisz, wstydu nie ma wcale,
A w kieszeni coś zostanie.

Służący. Każę znosić.

Orgon. Ale, ale,
Powiedzno mi, mój kochany,
Niewiadome ci mieszkanie
Pana Łatki?

Służący. Łatka? zwany
Przyjaciół młodzieży?

Orgon. Zwany
Prosper Łatka, krótko, jasno,
A przydomek mi nieznany.

Służący. Kamienicę ma tu własną,
Niedaleko.

Orgon. Poszlij z łaski,
Że Pan Orgon tu go prosi —
I niech Maciej rzeczy znosi.

(wchodzi do pokoju po lewej stronie).

Rózia. Niechby zły był, brzydki, stary,
Chętnie szłabym do ołtarza,
Gdy potrzeba tej ofiary
Tak dla ojca, jak rodzeństwa —
Lecz za męża brać lichwiarza,
Brać człowieka bez czci, wiary,
To rozdziera moją duszę,
To przywodzi do szaleństwa,
Jednak muszę, muszę, muszę.

Orgon (wchodząc). Oszukaństwo z każdej strony —

Dwa pokoje! A to jeden

Parawanem przestawiony.

Żyd. Jestem faktor.

Orgon. Niepotrzeba.

Drugi żyd. Może wekslarz?

Orgon. Niepotrzeba!

Służący drugi. Mam czem służyć?

Orgon. Niepotrzeba!

I raz jeszcze: niepotrzeba!

A, zle! gwałtu! kara Nieba! (wychodzą)

Ledwie człowiek w miasto wkracza,

Wrzeszczą wkoło hurmą całą.

Jakby kawki na puhacza.

(Szwajcar wchodzi i oddaje atysz. — Orgon czas jakiś patrzy mu w oczy — szwajcar się kłania).

Masz na piwo — a raz drugi,

Mój Mospanie z wielką gałą,

Nie wyrządzaj te usługi. — (szwajcar odchodzi)

(do siebie) Tylko pozwól, każdy służy,

A to w końcu szlachtę dłuży.

(czyta atysz) „Podróż nadpowietrzna — którą H. Karlo Bombalini będzie miał zaszczyt odprawić w olbrzymim balonie, niewidzianym dotąd w Europie. — Ofiaruje oraz bezpłatnie miejsce obok siebie i wzywa ochotę mającego amatora, aby się stawił na miejscu wyznaczonem, skąd punkt o godzinie czwartej przy ogłosie janczarskiej muzyki balon puszczony, wzniesie się do niedojrzanej wysokości“. (rzucając atysz na stolik po prawej stronie)

A niech go tam Bóg prowadzi

I z bezpłatnem jego miejscem,

Niech się kto chce tam posadzi
I odbywa z nim podróże;
Ja dalibóg, że nie służę.

(Maciej wnosi ogromny tłóмок ze stróżem — Orgon odtrąca stróża).

Czegoż ten się rzeczy chwytą?

Co minuta nowa postać!

(do Macieja.) Czy nie może znieść Mykita,

A przy koniach Kaśka zostać?

Stróż. Jestem...

Orgon. Jesteś grzeczny widzę,

Kara Boska z tą grzecznością!

Lecz grzeczności nienawidzę

I odpłacam niewdzięcznością. —

(do siebie). Jeszcze kiedy buczkiem skropię. —

(do Macieja biorąc z nim tłóмок).

A no, żwawo! dalej czopie! (wynoszą).

Orgon (zadyszany.)

Nieproszony znosi, wnosi,

Często gęsto — (z gestem) co skorzysta,

I na piwo jeszcze prosi —

To szarańcza oczywista!

SCENA DRUGA.

ORGON, RÓZIA, ŁATKA.

Łatka. Sługa, służka uniżony.

Orgon. Jak się miewasz, Panie drogi.

Łatka. Trzykroć twoje ściskam nogi,

Gościu dawno upragniony! (całują się).

(do Rózi.) Mojej pięknej pannie Róży

Sto całusków na rączęta. (całuje ją w rękę)

Aj, aj, w domu, czy podróży,

Zawsze śliczna! serc ponęta!
Tak wygląda, jak się zowie. —

(na stronie, do Orgona)

Aj, aj, Panie, co ci w głowie,
Tu zajeżdżać obcesowo.
Tu jak dzwońca cię oskubią,
Bo tu skubać dyable lubią —
Aj, podrwileś nieco głowę.

Orgon. Wiem czem pachnie, lecz musiałem:
Stancyi niema w mieście całem.

Łatka. Jutro najmę i wikt zgodzę.

Orgon. Miejsca ja tu nie zagrzeję.

Łatka. Coś się Rózia patrzy srodze.

Orgon. Biedne dziecko!

Łatka. Mam nadzieję,
Że nie będzie biedną wcale,
Jak zostanie moją żoną.

Orgon (z smutkiem.) Ha! zapewne. — Lecz to żale
Za swym domem, za rodziną,
I te, ręczę, wkrótce miną;
Dobre dziecię i rozsądne. —
No — nie tracąc czasu dużo,
Ja po sklepach się oglądnę,
A ty spocznij sobie Rózo —
O wyprawie sam pomyślę.

Łatka. Aj, aj, naco brać tak ściśle,
I wyprawę sprawiać szumnie —
By pieniądze żydzi wzięli!

(na stronę biorąc)

Wszak wszystkiego znajdziesz u mnie:
Od klejnotów do kądzieli,
Od trzewików do pościeli;

I za cenę dam zastawną,
Bo ich termin minął dawno.

Orgon. Nie chcę butów z cudzej skóry.

Łatka. A bodaj ci nóżka spuchła!

Nie chcę butów z cudzej skóry.

Aj, aj, duma, duma wielka,

Duma, ambit, nos do góry!

Lecz ja tylko proponuję,

Tobie przyjąć wolność wszelka.

(na stronie). Niech nareszcie i kupuje —

Jeno tylko się ożenie,

Jedno sprzedam, drugie zmienię.

Orgon. O mej sprawie coś się dowiem.

Łatka. Chcesz nie stracić? życzę zgody.

Orgon. O co poszło, krótko powiem. —

Rok w kontrakty — głupstwo robię,

Że chcąc zarwać miejskiej mody,

Każę krawca wołać sobie. —

Wchodzi krawiec — co za dziwo!

Krawiec z cyrklem, perspektywą,

Linia przy nim jakby szpada —

Wnet mierniczy stół rozkłada,

I jak stałem zadziwiony,

Tak mnie mierzy z każdej strony.

Sród dwóch z ramion paraleli

Prostopadłą tnie od nosa,

W tryanguly brzuch mój dzieli,

Cztery linie ciągnie zkosa,

Dwie poziome w samym dole,

Wyżej, koło i półkoło. —

Potem pisze, kreśli, liczy,

Potem więcej sukna życzy.

A dobrawszy ze dwie miary,
 Zrobił kurtkę — miast czamary. —
 Gdym zaś skargę wniósł w tej mierze,
 Za obrońcę szewca bierze,
 Bo szewc prawnik doskonały. —
 Tak więc sprawa trwa rok cały;
 Lecz jeżeli, co broń Boże,
 Dzisiaj koniec być nie może,
 To krawczego geometrę,
 Jakem Orgon, w miazgę zetnę.
 A tymczasem bądźcie zdrowi —
 Adies!

Łatka. Adiu!

SCENA TRZECIA.

R Ó Z I A , Ł A T K A .

Łatka. Przyszła pora
 Zawsze sercu niedość skora,
 W której wolno kochankowi
 Na kochanki lubą rączkę
 Szczerozłotą kłaść obrączkę.

Różia (usuwając rękę). Dosyć jednej będę miała.

Łatka. Perły, rauty, złota cała.

Różia. Złota, srebrna, nic mi po tem.

Łatka. Aj, aj, Róziu — złoto złotem;
 Nie bluźnijmy moje dziecko,
 Chcąc szczęśliwie żyć na świecie.
 Weźże moja turkaweczko,
 Gołąbeczko, kukułeczko,
 Wiewióreczko, kochaneczko,

(chcąc włożyć na palec.)

Weż, weż na ten cieniuteńki,
Na ten, ten, ten maciupieńki
Palusiusio.

Różia (wyrrywając.)

Nie, nie i nie.

Łatka. Aj, to dziwnie, na mą duszę —

Dając, jeszcze prosić muszę,

Tego mi się nie trafiło! —

Dajże dajże rączkę małą,

Jak mnie kochasz.

Różia.

Hola, hola!

Że ja kocham skąd mniemanie?

Jam go pewnie nie wyrzekła.

Łatka. Aj, aj, Róziu, raczkaś spiełka —

Bo to własna twoja wola,

Co się wkrótce z nami stanie —

(zacierając ręce).

Wkrótce, wkrótce, pięknie, ładnie,

Kapitalik mi przypadnie —

(pokazując dzieci).

Procenciki rosnąć będą,

A jak wiele, nikt nie zgadnie.

Różia. Tak, tak, wola moja własna —

Wszak mój ojciec, rzecz to jasna,

Chcąc Waćpanu dług zapłacić,

Byłby musiał wioskę stracić;

Zatem córka dla dłużnika —

Ale z tego nie wynika,

Bym Waćpana kochać miała

I bym kiedy go kochała!

Będę żoną, lecz nie więcej. (odechodzi)

Łatka (sam p. k. m.)

Jednak za nią sześć tysięcy
 Ojeu z długu wytraciłem;
 Samej lichwy, prawda i to,
 Jednak dałem dość obfito. —
 „Będę żoną, lecz nie więcej“.
 Tego sobie też życzyłem —
 Czy fiolek, czy tam Róża,
 Czy wzrok zimny, czy tam czuły,
 Bylem miał w mym domu stróża,
 Byle mojej strzegł szkatuły;
 Tego chciałem, to mieć będę.
 Ale gorzej, dożywocie;
 Jak się prędko go nie zbędę,
 W wielkim mogę być kłopotcie.
 Ten Birbancki coś nie miły,
 Żle mu dyable z oczu patrzy —
 Kahu! kahu! jak z mogiły,
 Cera żółta — nie — niemiły —
 Z sześć procentu spuszczę na trzy,
 Byle Twardosz dał do ręki..
 Otóż i on. — Bogu dzięki.

SCENA CZWARTA.

ŁATKA, TWARDOSZ.

Twardosz (mówi powoli — oczy w dół zawsze — i bez najmniejszego poruszenia w twarzy).

(na stronie).

Hm! nie widzi — w dół poziera —
 Pacierz mówi — stary sknera!

(zbliżywszy się).

A! przepraszam.. (chce się cofnąć).

Łatka (udając zadziwienie).

Jaś kochany !...

Twardosz

Zabłądziłem...

Łatka. Ale czekaj...

Twardosz. Numer czwarty tu wskazany.

Łatka. Ależ Jańciu, nie uciekaj!

(bierze go za barki i z czułością w oczy patrzy).

A bodaj ci nóżka spuchła!

Jakiś ładny — jak serduszko —

Ty młodniejesz co godzina.

(ściskają się kilkakrotnie).

Mój Jasieńku, moja duszko —

Siadajże no — pogadamy —

(odbiera mu kapelusz i siadają obydwoj).

Ot tak. — Ot tak — (kładąc mu rękę na kolanie). Po-
[czciwina!

(p. k. m.) Cóż nowego dzisiaj mamy?

(Twardosz siedzi bardzo wyprostowany — skrzyżowane nogi kryjąc pod krzesło — oczy nieustannie w dół spuszczone patrzą na kręcące się w koło palce — cały jak z kamienia).

Twardosz. Nic.

Łatka (p. k. m.) Wiatr dzisiaj — źle się dzieje —

Twardosz (p. k. m.) Źle.

Łatka. Dla czego?

Twardosz. Bo wiatr wieje

Łatka (na stronie). A na kupno głosu nie ma —

Wziął mnie za łeb — wziął i trzyma.

(głośno). Aj, aj, Jasiu grzech prawdziwie,

Że nie zajrzysz nigdy do mnie —

Zjadłbyś czasem skromnie, skromnie,

Ale w dobrej komitywie.

(p. k. m. na stronie)

Zbój przeklęty! jak za wałem. —

(Łatka w następującej mowie za każdym wierszem jakby czekał od-
powiedzi — Twardosz za każdą razą wzrusza głowę, jakby mówił
Ha! mniejsza z tem)

Nie skończyłeś kupna rano. —

A w godzinę więcej dano. —

Ale jednak nie sprzedałem —

I odwlekłem jeszcze chwilę. —

Bo z przyjaciół mych urazą

Nie chcę zysku największego.

Twardosz (p. k. m.) Już ja teraz nie dam tyle.

Łatka (zrywając się, potem siadając).

Nie dam tyle! nie dam tyle!

Jasiu, Jańciu, nie mów tego,

Bo jak gdybyś rozpalone

W moje serce pchał żelazo!

Nie dam tyle! nie dam tyle!

Czy mam zmysły zakłócone?

Czym farmazyn, czym libertyn,

Czym już bankrut?! Nie mów tego,

Jasiu, Jańciu, nie mów tego,

Bo mi z żalu dusza pęka.

Twardosz. Ja nie mówię...

Łatka. Więc dla czego?

Twardosz. Bo Birbancki nie jest zdrowy,

Klapnie pewnie...

Łatka (jakby podrzucony na krzesło).

Niechże ręka

Boska broni drogiej głowy!...

(śmiejąc się z przymusu)

A, bodaj ci, drogi Janie,

Nóżka spuchła! — nie jest zdrowy!

To Herkules, jak rydz, Panie —
Metuzalem będzie nowy —
Co to, Panie, za budowa!
Co za piersi, co za głowa!
Co za kości, jak olbrzyma;
Drugich takich w świecie niema! —
A bodaj ci, drogi Janie,
Nóżka spuchła, z taką mową!
(zrywając się) Ale wiesz co? — powiem słowo —
Słowo — słówko — a nie więcej.

(bierze Twardosza obiema rękoma za głowę)

Dasz zarobku — (całując go w czoło).

Sto tysięcy.

(odskakuje — przypatruje mu się — Twardosz kiwa głową, że nie
da — Łatka przyskakuje i uderzając po ramieniu)

Dziewięćdziesiąt — (gra jak wyżej).

Dasz osmdziesiąt. —

(jak wyżej)

Jasiu — duszo! duszko droga!

Co ty myślisz? bój się Boga —

Ty chcesz mojej wiecznej zguby,

Ty mnie w krwawe bierzesz szruby! —

(szarpiąc go za suknie i wstrząsając nim)

Człeku, człeku, miejże przecie

Litość w sercu, miej sumienie —

Łatwy handel na tym świecie,

Lecz pamiętaj na zbawienie!...

Daj siedmdziesiąt! (jak wyżej)

W tym sposobie

Chcesz mnie zarznąć — zarznąć srodze —

To weź lepiej brzytew sobie —

(nadstawiając gardło)

Rznij, rznij — na, rznij — rznij jak ciele,
 Tu na gładkiej rznij mnie drodze,
 Kiedy stracić mam tak wiele;
 Albo wytnij w łeb maczugą,
 Niech nie męczę się tak długo.

(Twardosz chce wstać, Łatka go pociąga tak, że gwałtownie usiada
 i do dawnej powraca pozycyi)

Daj sześćdziesiąt! (jak wyżej)

Słuchaj Janie —

Niech paraliż (wskazując na gardło) tu mi stanie —
 Niech mi w czworo złamie nogę!
 Niech mi kości powyciąga!
 Jeśli szeląg spuścić mogę,
 Jeśli spuszczę pół szeląga.
 Z pięćdziesięciu.

(gdy Twardosz chce wstać, Łatka pociąga go na miejsce i mówi
 z pośpiechem)

Daj czterdzieści.

(szarpiąc za suknię)

Cóż? czterdzieści? — co? i to nie?
 Na matkę siedmiu boleści!
 Miejsze litość, człeku srogi! —

(coraz czulej aż do płaczu)

Ja nieszczęsny, ja ubogi,
 Ledwie jeszcze resztką gonię,
 Wkrótce nagi, bez osłony —
 A ty niszczysz do ostatka —
 Ja rodziną obarczony:
 Ojciec stary, ślepa matka,

Żyć przestali na mem łonie —
 Żona, dzieci, wkrótce będą,
 Miejsze wzgląd na niemowlęta,
 Na niewinne me pisklęta.
 Jasiu, Jańciu, Bóg nad nami,
 Nie wypychaj mnie z torbami!

(Twardosz wstaje, dobywa pularesu — milczenie)

Twardosz. A więc powiem — słowo, słówko —
 (milczenie — służący wchodzi z fiaskami lekarstwa w rękę)
 I bez zwłoki — dam gotówkę —
 Na stół zaraz —

Służący (stając za Łatką)

Proszę..

Łatka (z niecierpliwością).

Czego?

Służący. Tu dla pana Birbanckiego
 Te lekarstwa ?...

Łatka (zatrzymując rękę Twardosza chowającą pulares i zasłaniając sobą służącego).
 (do Twardosza)

Wiele ? wiele ?

Służący. Czy tu ?

Łatka (w samo ucho służącemu).

Idź do dybła ! (do Twardosza) Wiele ?
 (służący stawia fiaski i wychodzi).

Twardosz (biorąc kapelusz).

Niech się chory leczy wprzód.

Łatka. Chory ! chory ! jakto chory !

Co do głowy ci przypada !

Zbytek zdrowia w nim doktory

Oslabiają przez ochłody —

To są nasi przyjaciele ! (bierze fiaskę i mówiąc pije)

Patrzaj! patrzaj — limonada! —

Sam pokosztuj — patrz jak piję.

A wiesz przecie, że zdrów żyję —

Dobra — przednia — patrz jak piję.

Twardosz. *Servus! servus!* (odchodzi).

Łatka. Ha, Cyganie!

Żydzie! Turku! Renegacie!

I sam dyabeł w swym warsztacie

Grosza z ciebie nie dostanie! —

(wstrząsa się i spluwa)

Jak kark skręcisz, dam gromnicę...

Lub gromnicy obietnicę.

(spluwa).

SCENA PIĄTA.

Ł A T K A , L E O N .

(Leon podпиты, ale nie pijany, przechodzi nucąc do swego pokoju, zastając zamkniętym, odwraca się i woła).

Leon. (często kaszle). Filip! Filip!

Łatka (na stronie). Aj, jak krzyczy!

Kaszleć będzie.

Leon. W łeb mu strzelę!

Filip! Filip!

(za każdym krzyknięciem Łatka wzdryga się jak uderzony)

Łatka (na stronie). To za wiele!

Żyła w piersiach pęknąć może. —

(do Leona) Czegoż to Pan sobie życzy?

Leon. A Waćpanu... (kaszle)

Łatka (sens kończąc). Co do tego?

Nic do tego, nic do tego —

Nic Pan nie mów — zgadnąć umiem —

I na migach się rozumiem —

Niech Pan tylko tak nie krzyczy.

Leon. Ja chcę krzyczeć.

Łatka. O, mój Boże!

Ja powiadam...

Leon (coraz głośniej) Kto zabroni?

Łatka. Boże, Boże!

Leon (zbliżając się do ucha Łatki).

Jeśli komu...

Łatka (półgłosem) Żyła, żyła!...

Leon. Mój Mospanie...

Łatka Żyła, żyła!..

Leon. W uszach dzwoni... (kaszle)

Łatka. Ratujże mnie święty Janie!..

Leon. Niechaj sobie rusza z domu! —

Ja chcę krzyczeć...

Łatka. Święty Janie!..

Leon. Póki tylko tchu mi stanie —

Ha! hu! ha! hu!.. (kaszle)

Łatka. Boże! Boże!

Janie Kanty! żyła, żyła!

Pozwól Panie, niech przełożę,

Iż chęć moja inna była...

Leon. Ja chcę krzyczeć.

Łatka (do siebie). Nadaremnie!

(wybiegając) Święty Janie, ratujże mnie!

Żyła, żyła! ratujże mnie!

Leon. Idź do dyabła! (siada) Czy go lichoo...

Tu naniosło... Mam być cicho...

Ale muszę... ale muszę...

Bo w tym kaszlu oddam duszę.

(opiera głowę o obie ręce)

Prawie razem.

Łatka (przynosząc wodę).

Oto woda, z cukrem woda —
Niech Pan trochę się napije —
To wilgoci piersiom doda
I drażniącą flegmę zmyje
Wszak ja służyć Panu chciałem.

Leon. Służ! (pije po trochu)

Łatka (jakby sam pił).

Tak, tak, tak — głaszcze — pieści —
Bo to, Panie, trzeba z ciałem
Jak i z duszą. Od boleści
Strzedz gorliwie Bóg nam każe,
Bo Bóg ciało dał nam w darze.
Póki zdrowie mieszka w ciele,
Póty rozkosz i wesele.

Leon (wskazując głową afisz). Co to?

Łatka (chcąc zgadnąć). Co?

Leon (głośniej). To. —

Łatka (jak uderzony). Głośnej mowy...

Leon. Daj!

Łatka. Przeczytam — niech pierś spocznie.

Leon. Daj!

Łatka (podając). Ot, waryat jakiś nowy

Dziś kark skrócić chce widocznie,
Bo balonem w górę leci;
Niech nad duszą Bóg mu świeci.

Leon (wstając). Waryat? o, nie — lecz waryata,
By tak mówić, na to trzeba —
Nie zazdrościć, gdy kto wzlata
Pod gwiazdziste wielkie nieba.

(jakby do siebie, nie zważając na Łatkę).

O, rozkoszy! choć na chwilę
Krażyć śmiało pod obłokiem.
I na głupstwa, nędzy tyle,
Cichem mędrca rzucić okiem.
Im się wyżej, wyżej wzłata:
Ten punkt błota, serce świata,
To mrowisko nasze całe,
Jakże nędzne, jakże małe!
A te mrówki tak wspaniałe,
Pełne żądz, wiedzy, pychy,
Jakże twór to śmieszny, lichy!
Iskrą życia wyrzucony
Na poziomą przestrzeń świata,
Tak ucieka od poziomu,
Jakby wiecznym ogniem gromu
Stał mu poziom rozpalony.
I po karkach depce sobie,
Nieuważny co rozgniata,
Czy to serce, czy to życie,
Byle w górę, byle w górę,
Byle kiedyś stanąć w szczycie!
(z ironią) Gdzie te wielkie dzieła świata,
Co to mają przejść naturę!
Gdzież ta w łez i krwi żałobie,
Ta zwycięskich mordów wrzawa!
Gdzież ta grzmiąca echem sława!
Gdzież pochwalne owe głosy,
Co to mają bić w niebiosy!
Tam na górze nic nie słyhać —
Cisza w koło — cisza błoga —
Tam można wolno oddychać:
Dalej ludzi, bliżej Boga! —

(wpada w zamyślenie)

Łatka (na stronie). On w gorączce, widzę, plecie,
 Coraz gorzej — o, mój Boże!
 Żyłka w piersiach pęknąć może,
 Jakby nitka u kądzieli;
 A gdy pęknie, już po świetle!
 Człowiek ziewnie, głową kiwnie,
 Dożywocie dyabli wzięli!

(Leon zamyślony zbliża się do Łatki i trzymając afisz w prawej ręce, lewy łokieć opiera o prawe ramię Łatki, który pod tym ciężarem i za każdym poruszeniem, raz w tył, raz wprzód, wystawia prawą nogę — Leon patrzy przed siebie, toż samo Łatka — po długim milczeniu mówi półgłosem na końcu jakby pacierz żałostnie).

Boże, Boże! jak się chwieje!
 Drga mu łokieć, drga mu noga —
 Coś strasznego w nim się dzieje —
 Jaki ciężar! O, dla Boga!
 Cały łokieć wpoił w ramię —
 Boże, Boże! on mnie złamie —
 Nie wytrzymam święty Janie —
 Janie Kanty i Duklanie —
 On mnie zgniecie, on mnie złamie —
 A usunąć się nie mogę,
 Bo się zwali na podłogę —
 Boże, Boże! łeb rozbije —
 Święty Janie i Antoni,
 Użyczcież mi waszej dłoni —
 Boże, Boże! ledwie żyję!

(przed ostatnim wierszem Leon wzniósł afisz i czyta).

Leon. Ha!

Łatka. (obracając się ku niemu).

Kolka? Co?

(chwytając w pół, gdy Leon leciał na niego, przez usunięcie ramienia).

Pada, kona!

Leon. Zaprasza nas do balona;
Ja mu służę.

Łatka. Gwałtu! ginę!

Leon. (patrzając na zegarek).

Już po trzeciej. Za godzinę
Głową chmury w pół rozdzielię!
Bądźcie zdrowi wierzyciele!
Filip! hola! frak mój nowy!

Kart dwie talie...

Łatka (rzucając się na niego i w pół ujmując).

Nie pozwolę,

Nie pozwolę człeku srogi —

U nóg twoich umrzeć wolę.

Leon. Temu znowu co do głowy...

Łatka. Ani kroku...

Leon. Precz mi z drogi!

(tak go trąca, że od stolika leci aż na drugą stronę sceny, gdzie wstrzymawszy się mówi z rozjaśnioną radosną twarzą, Leon wychodzi)

Łatka. To mi siła! to mi zdrowie!

Życia w nim za pół miliona!

Lecz cóż z tego — dyabeł w zmowie —

Jak wypadnie kto z balona,

Chory, zdrowy, równie skona.

(szuka konceptu.)

Popsuć balon — grzbiet odpowie

I zapłacić... fe! — Dać pod wartę...

I to, i to dyabła wartę...

Leon (wracając.)

Ha, ten Filip! ha, ładaco!

(grożąc). Żeby go miał, dałbym wiele.

Łatka (zbliżając się tajemniczo).

Panie, Panie! (pokazuje na drzwi lewe).

Leon. Cóż?

Łatka. Tam Panie.

Leon. Co?

Łatka. Schował się.

Leon. A to na co?

Łatka. Bo się boi.

Leon (wchodząc do pokoju Orgona).

Ha, bałwanie,

Zaraz ja cię tu ośmielę!

Łatka. (zamykając za nim drzwi na klucz).

Drzwi dębowe — w oknie krata —

Tyle trzeba na waryata.

(stawia krzesło przed drzwi i siada).

Czekaj sobie twojej czwartej...

(zrywa się) Ale Różia (biegnie ku drzwiom).

(stając). Dożywocie!

Tu kochanka, a tu krocie! —

(ku drzwiom). Ale jednak... (słucha i odstępując).

A ba, żarty!

(odchodzi). Trzeba przecie ufać cnocie

I skromności — tak, skromności —

Bo to pewna, że kark skręci,

Jeno tylko drzwi otworzę;

A niepewna... Jednak w złości

I w malignie czasem może...

Strzeżcie że nas wszyscy święci!

SCENA SZÓSTA.

ŁATKA, FILIP.

Filip (na stronie).

Coś handluje, stary sknera —

(głośno). Cóżto, klucza Pan dobiera?

Łatka. Aj Filipku, serce moje,
Ledwie żyję — ledwie stoję —
Wszakci dyabeł w nasze strony
Przyniósł Włocha z balonami,
A ten Leon, czart wcielony —
Boże zmiłuj się nad nami!

Chce z nim jechać gdzieś pod gwiazdy

Filip (ironicznie). Zatem ludzkość wzbraniać każe.

Łatka. Każe, Fipciu, każe, każe,
Bo kapitał mój narażę.

Filip. Który nie chce takiej jazdy.

(Łatka biegnie do drzwi, słucha i wraca).

Łatka. Ratuj nas więc mnie z Leonem —
Pędź czem prędzej, uprzedź Pana,
Zajmij miejsce, leć balonem.

Filip (z uśmiechem po krótkim zadziwieniu).

Lecz zejść każe, ledwie zoczy.

Łatka. Nie słysz.

Filip. Kiwnie.

Łatka. Zamknij oczy.

Filip. To mnie ściągnie.

Łatka. Nie dostanie,

Będziesz nad nim.

Filip. Gotów strzelić.

Łatka. Chybi pewnie.

Filip. Nie, nie, Panie,

Ja z panami nie chcę dzielić...

Łatka. Aj Filipku, żebyś wiedział,
Jak tam pięknie, ślicznie w górze —
Będziesz sobie gdzie na chmurze,
Jakby stary Jowisz siedział.

Filip. Niech Pan chwali, niech Pan gani,
 Wszystko będzie nadaremnie —
 Jeszcze rozum nie dość tani,
 Byś mógł zrobić głupca ze mnie.

Łatka. Nie chcesz?

Filip. Nie chcę.

Łatka. Tyś uparty.

Filip. Prawda.

Łatka. A więc rzecz skończona,

Weź to wszystko niby żarty.

Ale Fipciu, Finiu drogi,

Nie pożałuj swojej nogi,

Biegnij prędko do balona,

A jak wzleci, w górze będzie,

Z oznajmieniem wracaj w pędzie.

Tylko prędko, bój się Boga,

Każda chwila jest mi droga —

Fipciu, Finiu, bój się Boga,

Tylko prędko — ptaszka lotem —

Masz na piwo. (chowając) Dam ci potem.

(Filip odchodzi)

Ale co mnie w serce skrobie,

Że się do drzwi nie dobywa — (słucha)

Ani mru mru — jakby w grobie —

(patrzy przez dziurkę)

Ten parawan mi zakrywa!

SCENA SIÓDMA.

ORGON, ŁATKA.

(Orgon wchodzi, za nim widać dwóch żydków z towarami, którzy szarpia się i odpychają ode drzwi — Orgon wraca i zamyka drzwi mówiąc)

Orgon. A cóż znowu, u kaduka!

Ta hołota guza szuka!

Łatka (z rozpaczą). Orgon!

Orgon. Precz! Precz! — (zbliżając się) A, Mospanie,
Co się pytasz, wszystko drogo.
Tylko nasze zboże tanie —
Drań nas, Panie, drań co mogą.

(dostając z kieszeni różnych próbek)

Wziąłem próbki rozmaite;
Może Rózia co pochwali,
Lecz to wszystko ma nazwiska,
Że aż, Panie, w gardle ściska:
Jakiś satan, jakiś szmali,
Jakiś grugru... A to przednie!
A to rzadkie! A... ot brednie,
Byle szlachcie grosz wyłowić!

Łatka (na stronie). Strach i milczeć — strach i mówić.

Orgon. A na suknię sztuczka cała —

Czy ta moda oszalała!
Fałdy wszędzie, w górze, w dole,
Fałdy z tyłu i na przodzie!
A ja, Panie, powiem szczerze,
Strach się żenić w takiej modzie,
Bo to człowiek, co tam bierze,
Dokumentnie znać nie może.

(pokazując próbki)

Użyczże mi swojej rady:
To na kołdry, wszak dość ładne?
Czegożeś ty taki blady?

Łatka. Ja?... ja?... nie.. gdzie?... (na stronie) trupem
[padnę!]

Orgon. Ty się chwiejesz.

Łatka. A, tak, śmieję — (śmieje się)

Orgon. To jest znakiem...

Łatka (z trwogą). Czego znakiem?

Orgon. Że w żołądku źle się dzieje —

Dam ci zaraz krople moje :

Kontuszkówki z tatarakiem.

Łatka (zastępując drogę). Idź na miasto, mój Orgonie.

Orgon. A to poco?

Łatka. Bo się boję,

Że ty byłeś w innej stronie...

Może dawne, może nowe...

Bo to trzeba... (na stronie) tracę głowę.

Orgon. Zaraz — Róziu!

Łatka (zatykając mu usta). Cicho! ciszej!

Nie krzycz: Róziu! — nie usłyszysz —

Nie krzycz, nie krzycz.

Orgon. Puszczajże mnie.

Łatka (prosząc). Idź na miasto, mój Orgonie.

Orgon (odtrącając lekko). Nie zatrzymujże daremnie.

Róziu!

Rózia (ze swego pokoju). Słucham.

Orgon. Chodź.

Rózia. Nie mogę.

Łatka. Idź Orgonie, czas ci w drogę.

Orgon (bliżej drzwi odciągany przez Łatkę).

Czemu?

Rózia. Bo mnie tu zamknęli.

Leon. I ja z Rózią siedzieć muszę,

Jak kapucyn w swojej celi.

Orgon. Co? kto? jak? z kim?

(bierze swoją grubą laskę)

Ha! Mospanie!

Tu się prędko koniec stanie —

Otwórz! otwórz, bo drzwi skruszę!

Łatka (odciągając). Idź na miasto, mój Orgonie —

Rózia. Ależ Papo, klucza niema.

Leon. Jakaś Łatka w ręku trzyma.

Orgon (do Łatki). Klucza, klucza — bo cię zduszę!

Łatka. Idź na miasto, mój Orgonie.

Orgon. Klucza, mówię!

Łatka. Niema, niema.

Orgon. Cóż, u dyabła, tu się dzieje!

Krótką sprawą, drzwi wylupię.

Łatka (krzyżując się przed drzwiami).

Chyba przejdiesz po mym trupie.

Orgon (do drzwi środkowych.)

Hej! Jest tam kto! — chodź, kto może!

Co się dzieje! co się dzieje!

(wchodzi służący oberży i Maciej)

Łatka (na stronie). Jak go palnie, to zabije,

On i tak już słabo żyje.

Orgon (do służącego). Drzwi wyłamać.

Służący.

Ja otworzę.

Łatka (rozkrzyżowany tupa i krzyczy z gardła).

Gwałtu, gwałtu, co robicie!

To jest moje własne życie!

Gwałtu, gwałtu!

Orgon.

On szaleje!

(Leon, który podczas powyższych wierszy wzruszał drzwiami tak, że Łatką wstrząsnął — teraz mocno uderzywszy otwiera, a Łatka pchnięty drzwiami pada w objęcie Orgona)

Łatka. Trzymaj! trzymaj, bo uderzy —
Ach, trzymaj kto w Boga wierzy!
Ludzie! kto z was w Boga wierzy,
Nie puszczajcie ich ku sobie.

SCENA ÓSMA.

ORGON, LEON, ŁATKA, RÓZIA.

Orgon. Leon!

Leon (do służącego). Idźcie! — No, Orgonie,
(uderzając po ramieniu).

No, mój stary, niespodzianie
Zeszliśmy się tu w tej dobie.
Lecz me serce w żalu tonie,
Że ta Rózia, me kochanie,
Rózia moja luba, mała,
Co z kolebki mnie kochała,
Wychowanka mojej matki,
Ma być żoną tego Łatki;
Tego, tego krzywonosa,
Dla nędznego jego trzosa.
Niech kto spojrzy, niech kto powie,
Czy wymokły ten łeb sowi,
Oko kocie, łeb kobuzi,
Godne mojej ładnej Rózi.

Orgon. Ach, Leonie, mój Leonie!

Leon. Ach, Orgonie, mój Orgonie!

Ja wiem wszystko co do słowa,
Ale chwalić, nie pochwałę.

Orgon. Ach, daremna twoja mowa!

Leon. Ty, coś rządził mym majątkiem,
Wiesz, co miałem, doskonale,
Ale tego nie wiesz wcale,
Że bez grosza dziś zostałem.

Orgon. Dożywocie przecie?...

Leon. Miałem. —

Wstęp zrobiwszy tym początkiem,
Bym szczerości dał zadatek,
Ja o rękę Rózi proszę.

Orgon. Ach, Leonie!

Leon. Przecie wnoszę:

Wartem więcej niż trzy Łatek

Orgon. Ależ to jest myśl szalona,
Bo nie rachuj na me dary.

Leon. Ja nic nie mam, nic i ona,
To się zowie: jak do pary. —
(jak do siebie) A Sylfida czy miliona
Nie jest warta!

Łatka. Czy do zbycia
Ta majątność?

Leon. I pół życia
Tego skarbu nie opłaci.

Łatka (na stronie). Do pół roku pewnie straci.

Orgon. Dłoń za ciebie w ogień włożę,
Lecz, Leosiu, być nie może —
Miałbym wielką stąd zgryzotę.

(Rózia odchodzi ze spuszczoną głową).

(z czułością) Zawsze miałeś głowę — Boże
Zmiłuj się — lecz serce złote —
Więc do serca mówię twego:
Nie bałamuć mi dzieciны,

To ratunek mój jedyny,

Moje dziatwę miej na względzie. —

Leon. Za takiego! za takiego!

Orgon. Jakoś wszystko dobrze będzie.

Leon (obracając się). Więc balon...

Filip (wchodząc).

Nad Pijarami.

Orgon (przed siebie). Biedne dzieci!

Łatka (podobnie).

Szczęście z nami!

(zostając w zamyśleniu)

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

ŁATKA, TWARDOSZ.

(siada przy stoliku po prawej stronie — Twardosz od ściany liczy pieniądze papierami — przed nim parę worków)

Łatka. O, mój Boże, co ja tracę!

Twardosz. O, mój Boże, co ja płacę!

Łatka (podając pióro). Podpisz, podpisz Jasiu luby.

Twardosz (przekładając papiery).

Dwa a trzy pięć.

Łatka. Podpisz luby.

Twardosz. A pięć, dziesięć — pięć, piętnaście.

Łatka. Pióro oschnie.

Twardosz. Nic nie szkodzi —

Pięć, piętnaście — dziewiętnaście.

Łatka. Ale róbmy jak się godzi.

Piszmy. — Potem bez rachuby

Przyjmę wszystko. — Między nami

Ufność w zdradę nie porasta;

U nas, Jańciu, tysiącami

Z ręki w rękę szast — i basta.

Twardosz. Tysiąc drugi, trzeci, czwarty...

Łatka. Ale Jańciu, rzuć oczyma,

Ten banknocik mocno zdarty.

Twardosz. Ujdzie, ujdzie!

Łatka.

Różka niema.

Twardosz. Więc nie bodnie.

Łatka. Aj, nie bodnie!

Wolne figle, wolne żarty,
Lecz żartować niewygodnie,
Gdy zagraża wielka strata —
A ta piątka jakby szmata —
Jasiu, Jańciu, miej sumienie!

Twardosz. Jak nie wydam, to nie zmienię. —

Łatka. Dyabliż z tego. — Ale potem

Pomówimy z sobą o tem
Teraz podpisz, panie Janie —
Podpisz, podpisz, u kaduka,
Niech raz koniec już się stanie.

Twardosz. Ha, podpisać to nie sztuka ..

Łatka. Jasiu, Jańciu, dla miłości
Boga Ojca jedynego,
Nie nudź też tak bez litości,
Bo nim przyjdzie co do czego,
Tak udęcysz, tak utrudzisz,
Tak wymęczysz, tak wynudzisz,
Że aż krew się w żółć przemienia.

Twardosz (biorąc pióro z flegmą).

Już to ja tak z urodzenia.

(bierze pióro, ogląda, zaczyna naprawiać, kiedy wchodzi Lageny, za nimi Filip. — Słuchając z uwagą, chowa pakiet po pakiecie i worki do kieszeni, nie spuszczaając oka z rozmawiających).

SCENA DRUGA.

ŁATKA, TWARDOSZ, RAFAŁ, MICHAŁ. FILIP.

Rafał. Hej! Birbancki!

Filip. (z niecierpliwością).

Ale nie ma,

I raz jeszcze mówię: niema!

Rafał. Ciszej gburze!

Filip (zuchwale). Kto gbur, Panie?

Rafał. Ten, co kijem tym dostanie,

Jak języka nie zatrzyma. —

Patrzcieño się, jakie rogi!

Jak się chełpi, jak napusza,

Że za lichem krzesłem staje

U furfanta, utracjusza,

Co tam czasem bale daje,

I to jeszcze nie za swoje,

Bo dłużników piszcza roje.

Filip. Nie wypada służalcowi

Odpowiadać w takim wzgłędzie —

Ale wkrótce Pan mój będzie,

I na wszystko sam odpowie.

Rafał. Co odpowie, to odpowie!

Łatka. Pst, Filipie, ani słowa.

Rafał. Dziś się zwali ta budowa

Bezbożności i sromoty.

Michał (jak do siebie).

Gdzie niepewny nikt swej cnoty.

Rafał. Dziś się zamkną owe progi,

Gdzie zgorszenie i rozpusta,

Gdzie się kieszeń trzęsie z trwogi —

W wieczór pełna, rano pusta.

Michał (na stronie).

Trzysta reńskich.

Rafał. Dziś dzień kary.

Dzisiaj pójdzie z tego piekła

Sprzet na długi, kij na sługi,

A pryncypał sam — na mary. —

(Twardosz wstaje — Łatka przerażony — Filip odchodzi kiwnąwszy ręką).

Michał. I mną miota zemsta wściekła,
Jestem równie obrażony.

Rafał. Więc ja pierwszy, a ty drugi.

Michał. Pewnie, pewnie, a ja drugi;

Ale z innej biorąc strony,
Pan brat mówisz trochę wiele,
Bo z tych kłótni cóż być może?

Rafał (dobywając pistolety).

Co? — Oto to — w łeb mu strzele
I pogrzebie. (kładzie na stole po tej stronie będącym).

Michał. Co daj Boże. —

Ale jednak ci przedstawię,
Że lubo nikt nie zaprzeczy,
Iż nas skrzywdził w samej rzeczy,
Przecie jemu w tej rozprawie
Raz wystrzelić wolno będzie.

Rafał (podając mu rękę).

Niechaj strzela, niech zabije —
Wszak pan Michał jeszcze żyje —
Dał mi słowo.

Michał. I dotrzyma.

Ale...

Rafał. Zgoda miejsca niema.

Michał. Niema, pewnie — ale przecie...

Rafał. Dzisiaj jednym mniej na świecie. (siada przy sto-
[liku lewym])

Łatka. A bodaj mi nóżka spuchła,

Kiedy panów nie poznałem!
Pan Lagena jeden, drugi —
Ja Piotr Radost na usługi:

Znać ich ojca honor miałem,
O, tak, miałem, bardzo miałem;
I mych panów, ot tyciemi
Znałem, znałem, bardzo znałem
Ledwie wzrosło to od ziemi,
A już dowcip, dowcip rzadki,
Rozum z ojca, piękność z matki;
Z okolicy się zjeżdżano,
Bo nie jeszcze nie widziano
Podobnego w mieście całem. —
A bodaj mi nóżka spuchła,
Kiedy też was nie poznałem!

Michał. Cieszy mnie to mocno, wiele,
Nieznanego znajomego
Ze uściskać się ośmielę. (ściska go)

Łatka. Sługa, służka pana mego.

Ale cóż to za wyrazy
Słuch mój nagle przeraziły? —
Jakiż powód do urazy
Mógł dać taki człowiek miły,
Jak Birbancki? niech usłyszę,
Bo z przestachu ledwie dyszę. —

Rafał. Co tam mówić!

Michał. Rzecz nieładna!

Łatka. Aj, panowie, rzecz nieładna,
Lecz chcieć zabić rzecz szkaradna —
Cóż mógł zrobić ten chłopczyną?

Jakaż jego wielka wina?

Ach, Panowie przyjaciele,

To jest anioł w ludzkim ciele!

Rafał. Niech go chwali, kto bez żony —
Czart to, Panie, czart wcielony —

To wartogłów bez czci, wiary,
I nie ujdzie naszej kary.

Łatka. No, no, prawda, często gęsto
Figi migi w jego głowie;
Lecz serce — blank! blank, Panowie —
Jego słówka jak gotówka,
Jakby kontrakt tabularny.

(z wejrzeniem na Twardosza).

Z nim interes złotem kapie;
Niechaj będzie jak chce marny,
Kto go zacznie i dochowa,
Sto procentu gładko złapie,
Sto procentu, Dobrodzieje,
I w was jeszcze gniew goreje!

Michał. O procencie ani mowa.

Łatka. Więc o całym kapitale?

Michał. Pewnie, pewnie, kapitały

Ponaruszał nam zuchwale —

Lecz interes powiem cały,

Abyś tego znał prałata.

W towarzystwie Pana brata,

Jakoś, trochę, tu tej nocy,

Niby nadto — nie chcąc prawie —

Jakoś byłem na zabawie —

Przyszło rano — źle się dzieje —

Pan brat także spuścił nosa,

Leon z obu nas się śmieje,

Lecz użycza swej pomocy,

By nam żony... bo to Panie,

Różnie bywa w naszym stanie;

Bywa prosto, bywa zkosa.

Więc za nami pisze listy —

Lecz list jakoś zamieniony,
Miał ukoić nasze żony,
Jakby z nieba grom siarczysty
Porozbijał nasze stadła.
Sprzeczką, zazdrość, kłótnia, wrzawa,
Ani wstydu, ani prawa.
A zasłona gdy raz spadła,
Wyniknęło z rzeczy toku,
Że Pan Leon już od roku...

(szepce do ucha Łatce).

Łatka. Nie Pan pierwszy, nie ostatni.

Michał. Pan brat także, to rzecz jasna. —

Łatka. I krwi za to łaknąć bratniej,
Że tam trochę miłość własna...

Michał. Własna — fraszka, lecz żonina.

Łatka. Marność, duszko, marność świata.

Rafał. Głupiec jesteś! idź do kata!

Łatka. A bodaj ci nóżka spuchła
Z takim żartem — idź do kata,
Idź do kata — (ściskając go) Pocziwina!
Lecz Panowie, żart na stronę,
Pomiarkujcie: ludzkie życie,
To nie kulfon. — Raz stłuczone,
Już go nigdy nie skleicie —
Aj, aj, zgroza myśleć o tem,
Krew wypłynie, wróg nasz zginie,
Ale potem, ale potem!

Michał. Panie bracie, straszno będzie.

Łatka. Wszakże Ludmir znany wszędzie —
Wyzwał, zabił przyjaciela.
Od dnia tego ni wesela,

Ni pokoju, ni snu w nocy,
A gdy zaśnie już w niemocy,
Zaraz jakieś trupy krwawe
Zaczynają z nim zabawę,
To go duszą, to łaskoczą,
To mu w gardło kości tłoczą.

(Rafał siedzi zamyślony, Michał stojąc za nim mówi.)

Michał. To rzecz straszna, Panie bracie.

Chcecie, padnę na kolana

I uściskam wasze nogi.

(kłękając) Otóż padłem — ot mnie macie.

Rzućcie, rzućcie zamysł srogi;

Co krew straszna, krew wylana!

Rafał. Cóż Waćpanu idzie o to?

Łatka. (ze wzrastającym rozczerwieniem, które i Michał dzieli.)

Ach, mój królu! moje złoto!

Ja Leonka wychowałem,

Wypieściłem, wylulałem —

Ja go kocham jakby syna,

On pociecha ma jedyna,

On jest wszystkim co mam w świecie. —

A jeżeli krwi łakniecie

Za tam jakieś figle płocze,

Palcie do mnie — niech mnie kula

Gdzieś tam, w łydkę draśnie trochę.

Rafał (biorąc pistolety i wstając).

Niech tak będzie.

(Łatka zrywa się i cofa za Michała).

Chodź Michale,

Jego przyjaźń mnie rozczuła —

Puśćmy wszystko w zapomnienie —

Łatka (przychodząc do siebie).

Ślicznie, ślicznie i wspaniale —

Rafał (kładąc mu rękę na piersiach).

To mi człowiek! tego cenię!

O, niech jaki wróg ludzkości

Na tem sercu wzrok zatrzyma,

I niech potem jeszcze powie,

Że przyjaźni w świecie niema. (ściska go i odchodzi).

Michał (całując go).

Bodajże ci Bóg dał zdrowie.

Łatka (odprowadzając).

Bądźcie pewni mej wdzięczności,

W każdym czasie wam odpłacę.

Sługa, służka i podnózek.

(wracając) Tchórze! tchórze! podle tchórze!

Jaki skory do pogrózek;

A stań śmiało, zaraz stehórzy. —

Kończmy, kończmy.

Twardosz. A nie wróca?

Łatka. Ba! za nimi aż się kurzy!

(Twardosz dobywa pieniądze).

Podpisz, podpisz, rachuj potem.

Twardosz (do siebie).

W łeb mu strzelę i zagrzebię.

Łatka. Pół monetą, a pół złotem

Twardosz. Jak się myśli raz zakłóca,

Nie tak łatwo przyjść do siebie

SCENA TRZECIA.

ŁATKA, TWARDOSZ, DOKTOR.

Doktor. Ha! opiekun tajemniczy!

(śmiejąc się) Nie — Sylfida! wdzięków mnóstwo!

Młodość, piękność, anioł, bóstwo!

Czego znowu sobie życzy? —
Cóż tam klient ulubiony?
Jakież pensa zadał nowe?
Ach, nie zrzucał tej osłony,
Którą przed nim kryjesz siebie,
Chcąc na miejscu nosić głowę,
Chcąc swój rozum mieć w potrzebie.
Lecz winszować przytem muszę
Ostrych cierni w tej opiece,
Bo jakkolwiek w ciężkie grzechy
Zapędziłeś się dalece,
Niezawodnie zbawią duszę —
Dadzą wieczny zdrój pociechy. —
Ale teraz, żart na stronę,
Jako doktor szczerze powiem...

Łatka. Potem, potem,

Doktor. Że nad zdrowiem
Birbanckiego pomyśl wcześniej,
Bo dyabelnie naruszone.

Łatka. Bój się Boga!...

Doktor. Ha! boleśnie —
Ja wiem dobrze — mnie toż samo ..

Łatka. Ach, zmiłuj się!...

Doktor. Złe należy
Z razu wstrzymać silną tamą,
Bo złe prędko się rozszerzy.
Na Waćpana dziś żądanie...

Łatka. Ale...

Doktor. Byłem i zastałem
W nienajlepszym wcale stanie...

Łatka. Ach, gubisz mnie!...

Doktor. Przepis dałem...

Łatka. Nie kończ, nie kończ!

Doktor. Nie, Mospanie!

Właśnie że cię on obchodzi,
Obowiązkiem jest doktora
Rzecz przedstawić póki pora.

Łatka. Ach!...

Doktor. Twarz jego niech nie zwodzi:

On jest chory, dobrze chory.

Łatka. Zarzynasz mnie!

Doktor. I jeżeli

Tak żyć będzie, jak dziś żyje;
Tak pić będzie, jak dziś pije;
Tak noc trawić, jak dziś trawi;
Nie pomogą mu doktory,
Długo z nami nie zabawi.

Łatka. O, doktorze!

Doktor. Dziełę smutek,

Którym serce twoje ranie,
Lecz suchoty pewny skutek;
A natenczas, drogi Panie,
Galopem się z miejsca kopnie,
Czwałem przejdzie wszystkie stopnie.

Łatka. Gwałtu!

Doktor. I nim krzyknąć zmoże,

Jak kureczka cicho zaśnie.

Łatka. O, doktorze! o, doktorze!

Niech Waćpana piorun trzaśnie!

(Twardosz, który jak w poprzedzającej scenie chował pieniądze w miarę złych wiadomości, wykrada się niewidziany).

Doktor. Uśmierz wyraz twojej rozpaczey,

Bo nie może być inaczej;

Albo w innym żyć sposobie,

Albo musi legnąć w grobie. (odchodzi).

Łatka (obracając się jakby do Twardosza).

Nie wierz temu .. (osłupienie).

A, czy piekło

Moję zgubę dziś wyrzekło !

W jakież czarem tknięte błoto

Postawiłem dzisiaj nogę :

Od trzech godzin widzę złoto

I dosięgnąć go nie mogę. —

Pójdę, pójdę wydrę z gardła,

Co mi zdrada dziś wydarła !

Co ? gdzie ? komu ? mniejsza o to,

Byle złoto ! byle złoto !

(spotyka we drzwiach Orgona z Rózią, chwytając go za piersi
mówi).

Dasz ? daj ! — to ty. (wybiega).

SCENA CZWARTA.

ORGON, RÓZIA. (Orgon parę pakietów pod ręką).

Orgon. Cóż u kata !

Czy go osa w nos ucieła,

Że jak fryga dzisiaj lata ;

Lub czy znowu chętka wzięła

Gdzie jakiego półwaryata

Kręcić, łamać sobie kości,

A ten biegnie dla ludzkości.

Zamknąć z panną na dwie kłódki ?

(z ironią). Na mą duszę, sposób krótki

I skuteczny, jak widziałem

Po raz pierwszy w życiu całłem.

Ha ! zawsze się uczy człowiek,

Uczy do zawarcia powiek.

No, zbierz, Róziu, swoje graty.

(wskazując na pakieciki leżące na stole).

Znowu płaczesz ?

Rózia. Ja nie płaczę,
Wszak Pan Łatka jest bogaty.

Orgon. Ach, jak twoje łzy zobaczę,
Jakbym w sercu uczuł węża.
(z żalem). Ciebie Leon zbałamucił.

Rózia. Ach nie, ojcie — lecz zasmucił,
Bo przekonał jeszcze bardziej,
Jak świat cały Łatką gardzi.
Lecz ja wezmę go za męża,
Będę dzielić jego imie,
Dzielić będę nawet wzgardę:
(z uczuciem). Może zczasem i zadrzemie
Serce dotąd z cnoty harde. —

Orgon. Co? świat cały gardzić będzie?
O, starszemu wierz w tym względzie:
Tylko, duszko, bądź bogata,
Masz w trzewiku zdania świata.
Ja z Krętarskim, mym sąsiadem,
Żywym staję się przykładem.
Ja, że noszę wąs dorodny
I kaszkiecik niezbyt modny,
Żem oszczędny, bo mam mało,
Że nie umiem *parle franse*;
Lubo jestem powiem, śmiało,
Człowiek prawy i bez skazy —
Ledwie w mieście się pokażę,
Zaraz wkoło grzmiały wyrazy:
Cześnik, szlachcic kontraktowy,
Telembecki i tam dalej —
I choć ja tam lekceważę

Młodych papug głupie mowy,
Przecie z wiatrem to nie wzłata;
Słyszę, czuję drwinki świata.
A Krętarski, oszust dawny,
Że sakiewką głośno dzwoni,
Bo dziś wydrze, jutro strwoni;
Że pochlebniś, że zabawny,
Rzuca kłamstwa jakby z procy,
Że tam zawsze *a la mode*,
Mówi *Bon jour* w dzień i w nocy,
I że w karty drogo grywa;
Comme il faut się nazywa,
Ma cześć, honor i swobodę. —

Rózia. Ja zostanę Łatki żoną,
Kiedy już tak ułożono.
Ale tu się także żenią,
O pieniądzach myślą może,
Lecz osobę trochę cenią.

Orgon (z przymuszonym śmiechem).
Lecz osobę trochę cenią!
A broń Boże, a broń Boże!
Nie tak, nie tak na tym świecie,
Jak ty marzysz, moje dziecko.
Tu na małżeństw targowicy,
Nie młodzieniec do dziewicy
Zalotnicze czyni zwroty,
Ale ekstrakt tabularny
Do posagu tnie zaloty;
Tu z osoby zaszczyt marny;
Czem Waśc jesteś, nikt nie pyta —
Co masz Wasze, to pytanie.
Kto ma dużo, dużo chwyta,

Kto ma mało, w kącie stanie;
Tak tysiące z tysiącami,
A miliony z milionami
Para w parę kleją starzy.
A czy miłość się roznieci,
Raj czy piekło czeka dzieci,
To nam potem — jak Bóg zdarzy.

Rožia. Pana Łatki będę żoną,
Lecz w bogactwie szczęścia niema.

Orgon (ze wzrastającą goryczą)
Spytaj, jak gdzie spotkasz może
Jaką lalkę wypiekszoną,
Z anielskimi w dół oczyma,
Co jest szczęście, niech ci powie...
Ale spytać nie pomoże,
Bo odpowie: miłość z cnotą —
A pomyśli: złoto, złoto.
Tego tylko każdy łaknie,
A ten komu go zabraknie,
Niech się wstydzi, niech ucieka,
Świat już nie zna w nim człowieka.

Rózia. Ach, mój Ojczy, taką mowę
Z ustże twoich słyszeć muszę!

Orgon. Bo już tracę biedną głowę;
Mam przed sobą zwykłą drogę,
A postąpić nią nie mogę —
Źle czy naprzód, czy w tył ruszę.
Rozum każe nie dbać wiele
O dziecinne ceregiele.
I sił nie ma w łzy poglądać
I uśmiechu nie zażądać.
Koniec końców dyabła sprawa,

Bieda, kłopot z każdej strony.

Rózia (całując w rękę z przymileniem, nieśmiało).

Jakżem ja też jest ciekawa

Zdania Papy o Leonie.

Orgon. Pusty, goły i szalony.

Rózia. Jeśli błądzi, to z dobroci.

Orgon. Dyabliż z tego — jak mnie kraje,

Czy z dobroci, czy swawoli,

Jeden kaduk — zawsze boli.

Rózia. Mnie się, Papo, jednak zdaje,

Że onby się pewnie zmienił,

Gdyby godną wziął osobę,

Gospodarną i stateczną...

Orgon. Tak, niewielką z noskiem w górę.

(Rózia zmieszana spuszcza oczy i po chwili milczenia nieśmiało)

Rózia. Papa nie chce...

Orgon (sens kończąc). Dać ci burę,

I dla tego bądź tak grzeczną,

Nie mów o tem, co za dobę

Już i w jego zniknie głowie.

Rózia. On to swoim szczęściem zowie.

Orgon. Tydzień szczęścia, rok pokoju,

Życie całe nędzy, znoju.

Rózia. Ach, chęć szczera, rada zdrowa..

Orgon. Ani grosza, to za mało,

By się dobrze w domu działo,

Zatem milczeć — rada zdrowa. —

Idź, idź. --

Rózia. Jednak...

Orgon (całując w czoło i obracając od siebie).

Ani słowa.

(Rózia odchodzi).

SCENA PIĄTA.

ORGON. (sam p. k. m. uderzając laską).

Świecie, ty krętoszu stary!
Świecie, świecie bez czci, wiary,
Obyś w jednej dziś osobie
Mógł stanąć tutaj przedemną;
Takbym cię tem skropił raźnie,
Ażbyś pięty pogryzł sobie;
Potem rzekłbym: Mów wyraźnie!
Co u ciebie w większej cenie,
Czy pieniądze, czy sumienie?
Jam uczciwy. — Mam nagrodę? —
Płynę zawsze jak pod wodę;
Lada fireyk patrzy z góry,
Szydzi sobie ze szlachciury —
Ha, nareszcie niech zdrów szydzi,
Ale jednak Bóg to widzi.
Kiedy przyjdzie co do czego,
Fireyk, modniś, w oczy bryźnie
I jak piskorz się wyśliźnie —
A szlachciura chętnie, szczerze
Nie żałuje swoim swego,
I nad siły ciężar bierze,
(z goryczą). Aż nakoniec z krwawym potem...
O! zamilczmy lepiej o tem!

(kiwnąwszy ręką, odchodzi do swego pokoju).

SCENA SZÓSTA.

LEON, FILIP.

Leon. Panie Waćpan — bliżej proszę —
Bliżej, bliżej — bliżej jeszcze —
Pomówimy coś potroszę,

Bo dziś mówić mam ochotę;
A jak skłamiesz jedną jotę,
Tak serdecznie cię popieszczę,
Że ci włosy jeżem staną.

Filip. Pan niełaskaw — już i rano...

Leon. Powiedz — co to jest ten Łatka,
Co mi się tu ciągle kręci?
Coś tu się w tem, widzę, święci,
Jest tu jakaś w tem zagadka.
Jego ze mną dziś spotkanie,
Jego czynność jak waryata,
Objaśnioną mi zostanie
Przez Waszeci, Mości Panie.

Filip. Mnie do tego co, u kata!

Leon. Ależ proszę...

Filip. Pójdę sobie...

Leon. Zrób to dla mnie...

Filip. Nie, nie zrobię,
Pójdę...

Leon (chwytając za kołnierz).

Ja ci drogę skrócę,
Bo cię, łotrze, na dół głową
Z tego okna wnet wyrzucę,
Jeno skłamiesz jedno słowo.
Coś z nim mówił, ot, tej chwili,
Gdym znienacka nadszedł w sieni?
Czemuż, jakby oparzeni,
Obaście się rozskoczyli?
Prawdę! albo...

Filip. Niech tak będzie,
Na cóż dłużej kryć się przyda:
Ten Pan Łatka — jest Sylfida.

Leon. Łotrze!

Filip. On jest z Panem wszędzie —
Jego czujność, jego ręka
Strzeże Pana w krwawym pocie,
Bo ma pańskie dożywocie,
Bo się pańskiej śmierci lęka.

(milczenie).

Leon. A ty?

Filip. Ja mu pomagałem,
To jest, Panie, wyznam szczerze,
Przewinieniem mojem całym.

(milczenie).

Leon. To rzecz jasna, łatwo wierzę.
On to, ten łotr, co mnie w siatki
Tak zdradliwie wplątać umiał,
Żem dopiero rzecz zrozumiał,
Gdym majątku brał ostatki! —
(p. k. m.) Ha! odwdziaczyć chęć mnie bierze.
Filip! — słuchaj!

Filip. Co Pan każe?

Leon. Co ty wolisz; trzy dukaty,
Czy ogromne, tęgie baty?

Filip. A, dukaty! bez wahania.

Leon (siadając do pisania).

Pistolety przynieś moje,
Czegoż stoisz?

Filip. Myślą ważę...

Czy to dobrze, że się boję.

Leon. Idź nie będzie tu strzelania. (Filip wychodzi).

(napisawszy czyta).

„Straciwszy ciebie, droga Róziu, nic mi nad śmierć
nie pozostaje. — Jeden wystrzał uciszy serce, które

twojem zawsze było — pistolet już nabity — żegnaj cię — bądź szczęśliwa“. Leon.

(składa i oddając Filipowi, który przyniósł pistolety).

Zdradzałeś mnie tyle razy,
Zdradź i teraz, ale gładko.
Ten list jest do panny Róży,
Coto ma być panią Łatką;
Twój zaś dowcip niby wróży,
Że miłośne w nim wyrazy
I zdradzając me rozkazy
Dajesz Łatce.

Filip. To rzecz cała?

Nic Pan więcej nie rozkaże?

Leon. Nic — idź i wróć po dukaty.

Filip. Ja do tego jak skrzydlaty. (odchodzi)

SCENA SIÓDMA.

Leon. (sam). Teraz trzeba, by wiedziała

Rózia także o zamiarze. (idzie ku drzwiom i wraca)

Ale jak ten nagle wpadnie,
Tu zastanie. — Lis to stary,
Może zwietrzy, może zgadnie
I zniweczy me zamiary.

Nie — (siadając) napiszę co się dzieje.

(prędko napisawszy).

Tak, tak, luba, miej nadzieję —

(wchodzi do pokoju Rózi).

(wychodząc). Gdybym siebie miał zastawić,
Przedać moich sił ostatki,

Muszę, muszę cię wybawić
Z rąk zaklętych tego Łatki.

(siada przy prawym stoliku i kładzie pistolety przed siebie.)

Teraz, w twarzy rozpacz dzika,
Oko błędne, włos zjeżony,
I czekajmy przeciwnika —
Otóż pędzi jak szalony.

SCENA ÓSMA.

LEON, ŁATKA, (później ORGON, RÓZJA.)

(Łatka wbiega i rzuca się na stół, przykrywając sobą pistolety).

Łatka. Gwałtu! gwałtu! — warta!

Leon. Cóż to znaczy?

Łatka. Warta! warta!

Leon. Ale cicho!

Łatka. Krzyczeć muszę —

Oj, oj, gwałtu!

Leon. Cóż u czarta,

Ludzi...

Łatka. Gwałtu!

Leon (jak siedział, siedząc chwyta go za gardło).

Milcz, bo zduszę.

Łatka (przyduszony).

Gwałtu — gwałtu! (puszczony, cicho, słabnąc).

Gwałtu, gwałtu! —

(zaczyna płakać i szlochać aż się trzęsie, zawsze leżąc na pistoletach)

Leon. Czy ten człowiek zmysły stracił!

Łatka (szlochając.)

Nie... nie... alem... za... zapłacił...

Gru... gru... grubo... krocie, kro.. cie...

I mam twoje — Do ży w o c i e !

Leon. Nic nie szkodzi.

Łatka. Ach, ogromnie —

Bo strzelając... w głowę sobie...

Najwyraźniej... strzelisz do mnie ..

(zrywa się ichowując pistolety, przechodzi na lewą rękę Birbanckiego
obrócony tyłem do drzwi Orgona).

Ale nie... nie... wiem, co zrobię —

Ja cię pozwę — życie twoje

Ja kupiłem i jest moje —

Nikt do niego nie ma prawa,

I ktokolwiek nań nastawa

Jest zabójca, zdrajca, zdzierca,

Jest rozbójnik, jest — morderca!

Gwałtu, gwałtu, jest morderca!

Tak — sądowi do nóg padnę,

Powiem myśli twe szkaradne,

Powiem, powiem o zamiarze,

A sąd dobry, sąd łakawy

Na lat dziesięć życia skaże —

Nie rachując kosztów sprawy. —

Leon. Jak chcesz — pozwij, pozwij sobie,

A jak wygrasz, przyjacielu,

Złóż swój dekret na mym grobie.

Łatka (p. k. m.)

Więc nie pozwę — krótszą drogą

Do równego dojdę celu —

Filip poszedł — czekam warty.

Leon. Fiu! nie żarty!

Łatka. A, nie żarty!

Przyjdą tacy, co wziąć mogą,

Jak im powiem, jak oskarżę,

Jak przekonam należycie,

Żeś nastawał na me życie —
Broń mam w ręku — broń okażę.

Leon. I cóż z tego?

Łatka. Do więzienia

Wsadzą, zamkną.

Leon. A ja twego

Nie zaprzeczę obwinienia —

Niech mnie sądzą i powieszą,

Tem najmocniej mnie ucieszą.

Łatka (zbity z terminu, półgłosem).

A bodaj ci nóżka spuchła.

(p. k. m. wskazując na okno)

Ależ człeku, bój się Boga!

Skądże rozpacz tak zbyt sroga?

Patrzaj, jaki świat wesoły —

Patrz na chmury — na te góry,

Na ulice, na kościoły,

Na te fiakry, na te budki,

Te piękności dzieł natury!

Skądżeś śmierci wziął pobudki?

Zacóż bierzesz na tortury

Mnie biednego nieboraka?

(Orgon z Rózią w głębi).

Jakaż winna moja, jaka,

Żeś się zawzjął tak bezbożnie

Na mnie, na mnie nieboraka?

Leon (jakby do siebie).

Rózia dla mnie już stracona.

Łatka. Bierz ją lichu — weź ją sobie...

Ale kula, albo żona

Na toż samo wyjdzie tobie;

Dożywocie zawsze skona.

Leon. Już też teraz nie chcę żony,

Bo mój zamiar nie zmieniony.

Łatka. Ach, Leonciu miły, luby,

Nie chciej mojej wiecznej zguby!

Leoneczku! skarbie drogi!

Ja się kładę pod twoje nogi,

Depcz mnie — kop mnie, Królu! Panie!

Lecz ostatnie spełń żądanie.

Chcesz zastrzelić się koniecznie,

To już strzelaj, w imię Boże;

Lecz przed śmiercią postąp grzecznie,

Ja ci za to krzyż położę.

Oto, odłóż śmierci chwilę,

I weź się, weź do kuracyi

Do doktorów, do kąpieli —

Może do sił przyjdiesz tyle,

Że na tobie się nie straci —

Jak ci cera się wybieli,

Może się tam kto złakomi,

Ja też drożyć się nie będę;

Tak, twój wystrzał jak cię zgromi,

Ja na lodzie nie osiedę,

O Leonciu! mój klejnocie!

Ratuj moje dożywocie!

Wszak niewielka to usługa,

Wszakci wieczność dosyć długa,

I pół roku na tym świecie

Nie zrujnuje ci jej przecie. —

Leon. Koniec musi być w tej dobie.

Łatka. A więc ty sam odkup sobie

Tanio, tanio, wróc mi — wiele?

Wróc połowę, połowinkę,

(płacząc) To już sam ci w łeb wystrzele!

Leon. Nie mam grosza.

Łatka. Za godzinę?

Leon. Ni za dziesięć.

Łatka. Za rok może?

Hipoteczka jaka taka.

Leon. Nie dam żadnej.

Łatka Na Syldidzie,

Co?

Leon. Ty szydzisz?

Łatka. A, broń Boże.

Ktoby szydził w takiej biedzie!

Daj więc słowo.

(Orgon daje znak Leonowi, aby dał słowo).

Leon. Słowo, daję.

Łatka. Że połowę.

Leon. Za rok spłacę.

Łatka. Zatem układ szczery staje —

Puf nie będzie?

Leon. Szczery, szczery.

Lecz gdzież pewność z twojej strony?

Łatka (dając papiery).

W zastaw, w zastaw są papiery —

Ale już puf, puf nie będzie?

Leon. Już żyć miło w każdym względzie,

Gdym dostał takiej żony —

Wszak dasz Rozie, mój Orgonie?

Orgon. Wszak powiedział: weź ją sobie

Leon. A ty, Róziu?

Rózia. Ach, Leonie!

Życie, życie winnam tobie

Leon (wskazując Łatkę).

Jemu, jemu złożmy dzięki,
Że broń wyrwał z mojej ręki —
Nienabitą, prawda i to —
Lecz nie wiedział o tem weale:
Że co wydarł, dał wspaniale,
Że w mirt ubrał nasze skronie,
Że mnie w dozór oddał żonie
I że Łatkę wrócił cnocie,
Wiwat, wiwat Dożywocie

(Łatka, który się usunął aż do krzesła, kiedy Leon wyrzekł: Już żyć miło i t. d., stał w osłupieniu, a po ostatnim wierszu pada na krzesło).



Wydawnictwo Księgarni Polskiej we Lwowie.

Dzieła Wiliama Szekspira

w przekładach

J. Korzeniowskiego, St. Koźmiana, K. Ostrowskiego,
J. Paszkowskiego, J. Kasprowicza, A. Langego, Ed. Porę-
bowicza, St. Rossowskiego,
pod redakcją

Dr. HENRYKA BIEGELEISENA

z objaśnieniami wszystkich utworów i portretem Szekspira.

10 tomów 12 zł., w ozdobnej oprawie 16 zł.

Nabywać też można każdy tom oddzielnie, a mianowicie:

Tom. I. : TRAGEDYE. Cena 2 zł., w ozdobnej oprawie 2 zł. 50 ct.

Tom. II. : DRAMATY rzymskie. Cena 1 zł., w ozdobnej oprawie
1 zł. 50 ct.

Tom III. : DRAMATY królewskie. Cena 1 zł. 50 ct., w ozdob-
nej oprawie 2 zł.

Tom IV. : DRAMATY królewskie. Cena 1 zł. 50 ct., w ozdob-
nej oprawie 2 zł.

Tom V. : DRAMATY fantastyczne. Cena 1 zł.

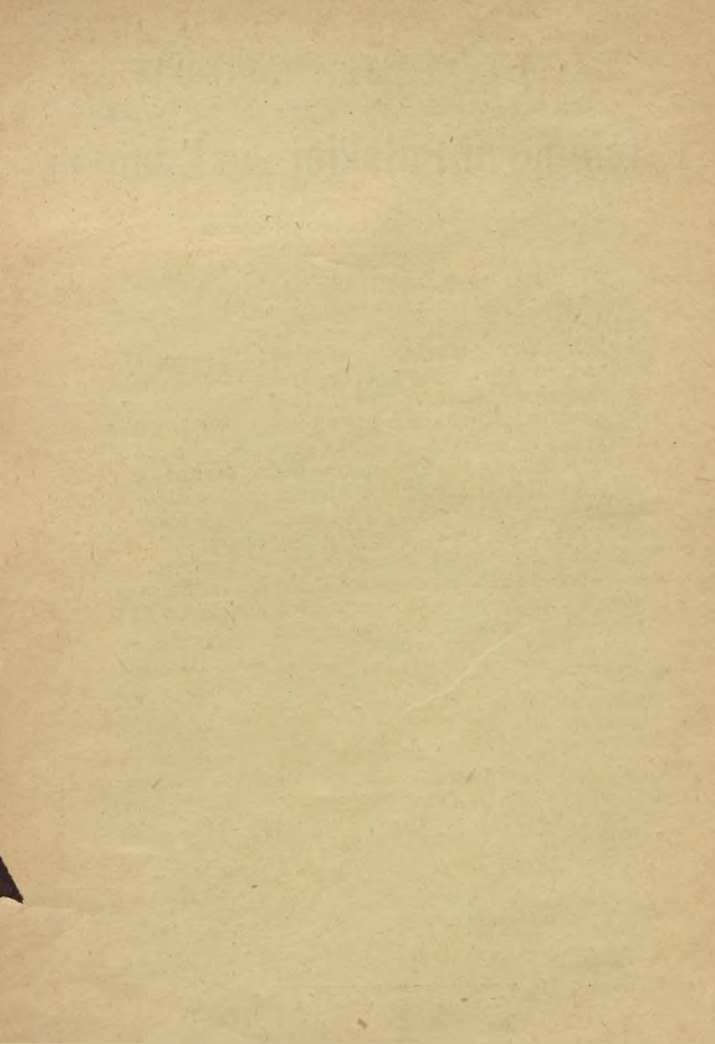
Tom VI. : KOMEDYE. Cena 1 zł., w ozdobnej oprawie tom V.
i VI. razem w jednej okładce 2 zł. 50 ct.,

Tom VII. : KOMEDYE. Cena 1 zł.

Tom VIII. : KOMEDYE. Cena 1 zł., w ozdobnej oprawie tom
VII. i VIII. razem w jednej okładce 2 zł. 50 ct.

Tom IX. : KOMEDYE. — J. Zahorski. Szekspir w Polsce. Cena
2 zł., w ozdobnej oprawie 2 zł. 50 ct

**Tom X. : Dr. H. Biegeleisen. Wiliam Szekspir. Próba charakte-
rystyki.** Cena 3 zł., w ozdobnej oprawie 3 zł. 50 ct.



BIBLIOTEKA

Najtańsze wydawnictwo polskie

Księgarni Polskiej

106297

Obejmuje arcydzieła

W liczbie najznakomitszych autorów, których utwory ukazały się w dotychczas wydanych tomikach, znajdują się między innymi, następujący:

Bliziński, Bret Harte, Brodziński, Byron, Dalecka, Dickens, de Foe, Franko, Fredro, Goethe, Goszczyński, Gutzkow, Hofmanowa, Ibsen, Jeź, Karpiński, Kasprowiez, Kochanowski, Kornel, Kościałkowska, Krasicki, Krasiński, Lam, Lange, Lazarewicz, Lennartowicz, Lermontow, Malczewski, Maupassant, Mérimée, Mickiewicz, Molière, Naruszewicz, Niedźwiecki, Niemcewicz, Orzeszkowa, Pasek, Pełowski, Poe, Rej, Rodoć, Sarnecki, Schiller, Schopenhauer, Skarga, Słowacki, Sowiński, Spasowicz, Starzeński, Strindberg, Syrokomla, Szczepański, Szekspir, Szewczenko, Tarnowski, Trembecki, Turgeniew, Wileczyński, Wilkoński, Zieliński, Żeromski.

Celem naszym i nadal będzie zasilanie „Biblioteki Mrówki” dziełami najwybitniejszych pisarzy, a obok tego *więcej niż dotąd, uwzględniać będziemy plody literatury społecznej.*

Do współpracownictwa zaprosiliśmy autorów starszego i młodszego pokolenia, znanych powszechnie czytającemu ogółowi i w ogóle starać się będziemy, iżby „Biblioteka Mrówki” odpowiadała wymaganiom zdrowej i pożytecznej lektury.

Dotąd wyszło około 400 numerów.

**Szczegółowe spisy „Biblioteki Mrówki”
w każdej księgarni bezpłatnie.**

„Biblioteka Mrówki” jest do nabycia we wszystkich księgarniach.